Nr. 7. Warszawa, dnia 3 (15) Lutego 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NAGANKA NA BOURGEOIS.

Miesiąc tylko jeden miał się trzymać u steru Francyi nowy gabinet po Ribocie w samym początku listopada r. z. z wielkim mozołem zbudowany trzyma się już od trzech; owych zatem wieszczów i wróżbitów listopadowych miałby prawo p. Bourgeois, obecny pierwszy minister, brać na fundusz, gdyby nie to, że właśnie w początku czwartego miesiąca fundamenty pod jego gabinetem zaczynają pękać, a naokoło niego powstaje krzyk: *Sauve qui peut.* Telegraf, oczywiście, nie urzędowy Agencyi Havasa, ale prywatny i nieprzyjazny wpół radykalnemu rządowi, roznosi już po Europie zapowiedź nieuchronnego upadku. Depesze takie nie są pustymi tylko pęcherzami. Izba deputowanych, trzymająca u siebie i kolebkę i gilotynę dla ministrów, gotową jest zawsze z tej ostatniej skorzystać względem ministra, którego od samego początku tylko tolerowała. Senat ma powód jeszcze bliższy, dotykalniejszy. Pomiędzy francuską Izbą wyższą a gabinetem wrze już walka urzędowa, prawodawcza. Senat uchwalił prawo, którego nie chce rząd: prawo to ostatecznem wprawdzie nie jest, bo go nie uchwaliła jeszcze Izba deputow., ale przy jej gotowości do pozbycia się p. Bourgeois, przy skłonności do poparcia senatu, łatwo zyskać może moc już nieodwołalną: a wtem przypuszczeniu samo już podjęcie projektu jednej Izby przez drugą wystarczy do zwalenia gabinetu.

Przedmiotem uchwały senatu, odrzuconej przez ministrów, jest zakaz wzbraniający robotnikom w pracowniach dróg żelaznych państwowych zmawiania się i porzucania roboty całemi gromadami. Taki zamiar prawodawczy żywił już p. Ribot, i właściwie dostał się on w spadku dzisiejszemu gabinetowi, który przecież podjąć go nie chciał; aż go podniosła inicyatywa prywatna senatu. Już Ribot motywował projekt niebezpieczeństwem na wypadek wojny; motyw ten wystąpił i teraz podczas rozpraw w senacie jako od innych ważniejszy. Rząd obecny zbija go nieprawdopodobieństwem zaparcia się patryotyzmu przez robotnika francuskiego wobec nieprzyjaciela najeżdżającego kraj. Senat silniej wierzył w niebezpieczeństwo, niż w patryotyzm—i projekt uchwalił. Nie samo tylko uznanie prawa za potrzebne popchnęło go do tej uchwały: większość senatu chciała przez nią zaznaczyć jeszcze swój wstręt do pewnych sympatyj rządu, mającego w swym składzie radykalistów i przeprowadzającego politykę, jeśli nie nawskroś radykalną, to radykalizmem owianą. Zakarbowano to sobie, że p. Bourgeois w imieniu rządu w sporze między pracownikami a dyrektorem huty szklanej w Carmaux, p. Rességuier, stanął po stronie pierwszych i zachęcał ich nawet do założenia własnej huty konkurencyjnej. Nie chodziło senatorom, nie chodzi i ogółowi republikanów umiarkowanych, o jedną tylko chwilę, o jeden wypadek, ale o całą przyszłość. Nowość, przeprowadzona w Carmaux na skalę większą, niż się to działo dotychczas w życiu ekonomicznem Francyi, byłaby złym, zgubnym przykładem, rozogniłaby namiętności społeczne, wstrząsnęła interesy, zakłóciła porządek, jeszcze gorzej, niż go zakłócają obecne stosunki. Zakazując zmów na kolejach, dawał senat jednocześnie *votum nieufności* temu, w czem widział niebezpieczne dla społeczeństwa conajmniej zachcianki dzisiejszego rządu.

Republikanie, panujący dziś we Francyi, mają przeciw p. Bourgeois pobudki jeszcze głębsze i dalej sięgające od tych, jakiemi się kierowali w sporze o pewne jednostkowe, epizodyczne stosunki i fakty życia ekonomicznego. P. Bourgeois chowa jeszcze w zanadrzu swój program: prawo powszechne o stowarzyszeniach, mające objąć i wszelkie wyznania religijne; podatek dochodowy, urządzony już ściśle na podstawie postępu rosnącego. Nowe urządzenie stowarzyszeń wywróciłoby zupełnie cały porządek dotychczasowy w pozycyi duchowieństwa, zwłaszcza katolickiego, z rządem. Dotychczas dwie te groźby są tylko dalekiemi błyskawicami, od których grom nawet nie dochodzi; ale im dłużej p. Bourgeois się trzyma, tem bliżej nadciąga i burza jego programu. Gdy p. Loubet na początku obecnego okresu prawodawczego, w styczniu, na miejsce usuwającego się Challemel-Lacoura, prezesem senatu obrany, w przemówieniu wstępnem zapowiadał, że senat nie myśli zrzec się żadnego ze swych praw konstytucyjnych, żadnego też lekceważyć nie będzie i z wszystkich korzystać pragnie, i gdy senatorowie to jego oświadczenie gorącymi pokrywali oklaskami — wyższa Izba francuska miała oczy utkwione właśnie w owe dwie gwiazdy złowróżbne. Groźba przewrotu w stosunku kościoła do państwa, uświęconym przez konkordat pierwszego konsula z r. 1801, musiała się senatorom wydawać tem straszniejszą, że dobre pożycie z Watykanem zaczęło się już było mącić i psuć — i p. Lefebvre de Béhaine, przyjechawszy na urlop do kraju, według obiegających pogłosek, nie miał wrócić do Rzymu. Ale program p. Bourgeois obejmował nadto, prócz dwóch owych zasadniczych, zasadnicze spory wywołujących, punktów, jeszcze jeden, o który spierać się nikt by nie chiał i nie śmiał, którego jednak z teoryi, zawsze cierpliwej i zawsze niemowlęcej, większość obozu oportunistycznego, tak w senacie, jak w Izbie, w surową praktykę życia wprowadzać sobie nie życzyła. Tym punktem

bezspornym, ale mimo to odpychanym, jest przywrócenie sprawiedliwości karzącej zupełnej swobody działania przeciwko wszystkim bez wyjątku bakteryom gnilnym, zarażającym naród i społeczeństwo czcią — nieprawą złotego cielca. P. Bourgeois musi być miłośnikiem sprawiedliwości bezwzględnej, wymarzonej, takiej, jaka ze względnością, z oportunizmem pierworodnym życia, z całą ziemskością i konieczną jej skazitelnością nigdy pogodzić się nie da. Sprowadza on już Artona z Londynu, rzetelnem śledztwem dobrał się do całego świata dziennikarzy i innych wydrwigroszów, świetnie żyjących i świetniej jeszcze uprawiających występek; rozgarnia na nowo żar kolei południowych i pragnie dla sprawiedliwości rąk nieskrępowanych w sięganiu po tych, którzy, mimo wyroków sądowych już wydanych, jeszcze się przed nią ukrywają; dąży nawet do wznowienia sprawy panamskiej — tej wielkiej Panamy, w której tyle małych odkryto; jednem słowem — mąci spokój i odbiera sen, gdy za poprzednich oportunistycznych rządów miało się i dzień spokojny i noc nietęskliwą. Mocya senatora Monis d. 12 b. m. i nieprzyjazny p. Bourgeois porządek dzienny, wskazują, jak silnie wrze wszystko w senacie — głównej arce porządku — przeciwko pierwszemu ministrowi i jego radykalizmowi. Jeśli Izba deputowanych nie uratuje prezesa gabinetu uchwałą zaufania — nie uratuje go Madagaskar, którym pragnął zyskać sobie dla swego programu i swego tonu rządowego pobłażliwość ogółu politykującego we Francyi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Petersburg 8 lutego. (Tel. Ag. T. R.)— Przekład telegramu Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana do Jego Wysokości Księcia Ferdynanda w Sofii: Petersburg 25 stycznia (6 lutego) 1896.

„Szczerze winszuję Waszej Wysokości powzięcia patryotycznego postanowienia, o którem Mi Wasza Wysokość donosi w liście Swoim z d. 21 stycznia. Generał-major Mojej Świty hrabia Goleniszczew-Kutuzow wiezie Waszej Wysokości Mój list i jemu też poruczonem zostało asystować w Mojem Imieniu przy obrzędzie przyłączenia ukochanego syna Waszej Wysokości do cerkwi ludu bulgarskiego."

Petersburg 8 lutego. (Tel. Ag. Tel. R.)— Ogłoszony został następujący komunikat rządowy: „Odwołując swoich agentów z Księztwa Bułgarskiego, rząd Cesarski zaraz wówczas oświadczył w komunikacie swoim, że przez środek ten nie miał bynajmniej na celu zrywania węzłów, wiążących Bulgaryę z Rosyą. Bulgarya jest dziełem Rosyi i zawdzięcza swoje istnienie ciężkim ofiarom i usiłowaniom narodu rosyjskiego i już na mocy tego rząd Cesarski nie mógł nie odnosić się z najżywszym udziałem do wszystkich objawów jej obywatelskiej organizacyi, do obecnego jej położenia i do przyszłych jej losów. Niejednokrotnie oświadczaliśmy, że czekamy tylko na szczere zrozumienie przez samych Bulgarów konieczności zwrotu ku lepszemu, ażeby puścić w zapomnienie przeszłość i zrobić początek przywróceniu z Księztwem stosunków, opartych na wzajemnej ufności i wolnych od wszelkich interesownych pobudek. Pierwszy krok w tym kierunku został obecnie zrobiony. Książę Ferdynand zwrócił się do Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana z piśmienną prośbą o przysłanie do Sofii specyalnego rosyjskiego przedstawiciela do asystowania przy obrzędzie przyłączenia do cerkwi prawosławnej małoletniego Ks. Borysa. Trzy lata temu po otrzymaniu wiadomości o zamiarze ówczesnych zarządców bulgarskich wniesiena pod zatwierdzenie zgromadzenia narodowego projektu zmiany 38 artykułu konstytucyi Tyrnowskiej, zapewniającego przynależenie domu Książęcego do cerkwi prawosławnej. Rząd Cesarski nie mógł nie podnieść silniejszego głosu swojego przeciwko takiej innowacyi. Wówczas też już w komunikacie swoim z d. 21 lutego 1893 r. ostrzegał wszystkich Bulgarów bez różnicy partyj o niebezpieczeństwie, jakie grozi narodowi, gotowemu wejść na drogę wyrzeczenia się odwiecznych i najświętszych swoich tradycyj. Głos Rosyi, współczującej niedoli i nieładowi jednowierczego plemienia na wschodzie, przeniknął do serca ludu. Lud bulgarski i jego rządcy zrozumieli konieczność zabezpieczenia i umocnienia w kraju panowania wiary prawosławnej, stanowiącej rękojmię nierozerwalnego duchowego związku łączącego Rosyę z oswobodzoną przez nią Bulgaryą. Wiadomość ta wszędzie w Rosyi przyjęta była z radosnem współczuciem. Ożywiony uczuciami wspaniałomyślności i szczerej życzliwości dla Bulgaryi, Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan wysłuchał prośby Księcia Ferdynanda i Najwyżej zezwolił na uczynienie zadość prośbie przez wysłanie do Sofii w Swojem Imieniu jako świadka i ojca chrzestnego przy spełnieniu sakramentu namaszczenia małoletniego syna Księcia, generał-majora świty Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana hrabiego Goleniszczewa-Kutuzowa."

Obrzędu przyłączenia, o którym wspomina pierwsza z depesz powyższych, dokonać miał w piątek 14 b. m. eksarcha bulgarski, sprowadzony umyślnie z Konstantynopola. Zaraz po manifeście ks. Ferdynanda wyjechał nad Bosfor min. Stoiłow, aby wyjednać uznanie Księcia jako panującego; wyjednał, i sam dla siebie otrzymał dowody łaskawości sułtańskiej. Abdul-Hamid przysłał przedstawiciela swego na uroczystość, przyśle innego na stałego rezydenta. Książę wybiera się z podziękowaniem do Petersburga i do Stambułu.

Ks. Marya Ludwika, małżonka księcia, według depeszy urzędowej z Sofii, chora, wyjechała do Nizzy z drugim synem, Cyryllem. Depesza ta zapewnia, że niema mowy o rozwodzie, gdyż nie ma żadnych zgoła nieporozumień w rodzinie. Na wielkanoc pewno już księżna wróci do kraju. W uzdrowisku nad m. Śródziemnem mieszkać będzie wraz z matką męża, ks. Klementyną.

Prasa francuska cieszy się ze zwrotu w kierunku spraw bulgarskich, angielska ministeryalna okazuje niechęć księciu, niemiecka ma na oczach owego grenadyera bismarkowskiego, bismarkowska—*Hamburger Nachrichten*—radzi księciu Ferdynandowi pójście za przykładem syna, austro-węgierska wywija drewnianą szabelką, przypominając prawa Austryi, których straż niedbałą jednocześnie Kalnokemu wytyka.

Dnia 11 b. m. ministrowie angielscy zagaili posiedzenia parlamentu. Odczytana

TORTURY NADZIEI

A. Villiers de l'Isle Adama.

> O! głosu, głosu, by krzyknąć!..
> *Edgar Poe.*

Pod piwnicami Officiatu Saragossy, przy zachodzie słońca, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila, szósty przeor dominikanów w Segowii, trzeci wielki inkwizytor Hiszpanii, schodził w towarzystwie Fra redemptora i dwu służących z latarniami, ku jednemu z najbardziej ukrytych więzień. Rygiel ogromnych podwoi zgrzytnął, gromadka ludzi wstąpiła w cuchnącą grotę, gdzie przy świetle promieni napół gasnących, i za dnia nawet wybladłych i przy połyskach świec latarkowych oko rozróżniało między pierścieniami przykutymi do murów skrwawione narzędzia tortury, żelazny piecyk i kruż. Na słomie zmierzwionej, przechodzącej w nawóz, skrępowany więzami, z obrożą żelazną na szyi, siedział wystraszony, okryty łachmanami człowiek, wieku nie dającego się łatwo określić.

Tym więźniem nie był kto inny, jak rabi Aser Abarbanel, żyd aragoński, którego — obwinionego o lichwę i nielitościwą wzgardę ubogich — więcej niż od roku codzień brano na tortury. Lecz „zaślepienie jego dorównywało twardości jego skóry"; wzbraniał się zapamiętale porzucić wiarę ojców.

Dumny ze swego pochodzenia starożytnego, z pokrewieństw dających się wyznaczyć o kilka tysięcy lat wstecz, wyprowadzał, oparty na talmudzie, ród swój od Otoniela i żony jego Ipsiboy, żony ostatniego sędzi izraelitów... Co nadawało mu wytrzymałość na największe katusze.

Z oczyma więc pełnemi łez napływających na myśl, że ta dusza tak szlachetna, usuwała zbawienie, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila przybliżył się do rabina i drżąc — wymówił:

— Mój synu, ciesz się, oto twe nawiedzenia ziemskie mają się ku końcowi. Jeśli wobec takiego uporu z łkaniem w duszy użyłem wielu surowych środków, to jednak nie myśl, aby braterskie me chęci poprawy ciebie, były bez granic. Jesteś zawziętem drzewem figowem, które po wielu latach niepłodności, musi być ściętem... Ale Bóg sam tylko ma prawo stanowić o twojej duszy. Może nieskończona jego łaskawość zaświeci nad tobą w ostatniej twej chwili! Miejmy nadzieję! Zdarzały się wypadki.... Niech dzieje się wola Najwyższego! — A zatem spoczywaj tego wieczora w spokoju. Jutro weźmiesz udział w *auto da fé*: to znaczy będziesz wystawiony na ciepło ogniska stanowiącego przedsmak wiecznystych płomieni. Pali ono jak wiesz mój synu, z daleka tylko, śmierć każe na siebie czekać conajmniej dwie lub trzy godziny, z powodu —zapewne musiałeś słyszeć—mokrych i lód zawierających szmatek, któremi w trosce o duszę grzeszników owijamy głowę i serce całopalonego. Będzie was wszystkich tylko czterdziestu trzech. Rozważ, iż postawiony na samym końcu będziesz miał czas wezwać Boga, ofiarować mu ten chrzest ogniowy. Pokładaj więc nadzieję w Światłości i śpij.

Kończąc tę mowę, dom Arbuez dał znak, aby zdjąć łańcuchy z nieszczęsnego i pocałował go czule. Po nim Fra redemptor prosił żyda cichutko by przebaczył mu, to co doznał odeń dolegliwego, a pełnionego jedynie w celu zbawienia jego duszy. Nakoniec dwaj służebnicy złożyli pocałunek na twarzy rabina. Ceremonia skończyła się, latarki wycofały się z izby, więzień pozostał sam w cieniach.

Z wargami spieczonemi, obliczem wykrzywionem od bólu rabi Aser Abarbanel, rzucił najpierw okiem, bez szczególnej myśli, na zamknięte drzwi. „Zamknięte?"... to słowo w głębi duszy jego wywołało jakby sen... Czy w istocie widział przed chwilą światło jakieś, przekradające się niby przez

mowa od tronu zapowiada uregulowanie granic Afganistanu, ubolewa nad Armenią, lecz pociesza się obietnicami sułtana, gani Jamesona i stwierdza gotowość Krügera do naprawienia krzywd, jakie się dzieją *uitlanderom* angielskim. Flota dostanie 10 mil. funtów, Irlandya bil argrarny, robotnicy bil opatrujący ich samych w razie kalectwa lub długotrwałej choroby, a ich rodziny w razie śmierci wskutek nieszczęśliwych wypadków. Przypływ ubogich do Anglii będzie zatamowany.

Francuska Izba poselska po kilkodniowych rozprawach, rozpoczętych jeszcze w d. 1 b. m., odrzuciła d. 11 b. m. żądanie socyalistów, aby Reynala, b. ministra skarbu, który w r. 1888 zawierał układ z dr. żel. Orleańską i innemi, oddać pod sąd. W senacie d. 12 b. m. Monis przeprowadził (161 przeciw 67 gł.) naganę dla ministra sprawiedliwości za zastąpienie sędziego śledczego w sprawie dr. żel. Południowych, Remplera, uczciwszym—Poitovinem. Dnia 13 b. m. spodziewał się rząd zatarcia tej uchwały przez izbę. Prawdopodobnie Ricard, min. spr., ustąpi.

Niemcy podejmują kolonizacyę Transwaalu.

Mają i Węgrzy swą Panamę: Pulszky, dyrektor sztuk pięknych, nabywał obrazy i posągi do umyślnego muzeum okazowego na tysiączną rocznicę istnienia Węgier w taki sposób, że wiele tysięcy guldenów pozostało w jego rękach. Usiłują go podać za waryata. B. minister oświaty, Csaky, przyjmuje winę na siebie. Rząd oddał sprawę do opinii sądowej, lecz opiera się wytoczeniu procesu.

W Abisynii spodziewana bitwa pod Aduą. Nowe posiłki dla Baratierego przybędą w pierwszym tygodniu marca.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa: *Australczyk*, powieść. Petersburg. K. Grendyszyński, 1896, str. 384. — Zofia Kowerska: *Znane dzieje*, powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 229.

Żądanie, stawiane sprawozdawcom, aby stanowczo oświadczali, czy dana im do ocenienia powieść jest dobra, czy zła, żadnym sposobem nie może być spełnione na podstawie obowiązujących kodeksów estetycznych. Romans, jako dzieło sztuki, już dziś prawie nie istnieje; w ostatnich czasach rozpłynął się on na tyle odnóg piśmienniczych, zagarnął pod siebie tyle rozmaitych gruntów extra-literackich, pedagogicznych, ekonomicznych, filozoficznych, że pośród tych dziedzin celowo moralnych lub utylitarnych artyzm odegrywać może jedynie rolę ptaka w wodzie, ryby w powietrzu, niedźwiedzia na jarmarku, czy coś podobnego.

Przyparty do muru, co mam np. pisać o „Australczyku" Orzeszkowej? Jest to bez wątpienia obraz — ale na wylot przesiąknięty chwalebną dążnością wykazania i dowiedzenia, że człowiek z wyższem wykształceniem naukowem nie powinien zdobytych wieloletnią pracą skarbów wiedzy zakopywać na cudzym zagonie. Zapewne, zagadnienie to wolałbym mieć przed sobą rozwinięte w szeregu artykułów treści bądź finansowej, bądź socyologicznej. Uwolniony od pierwiastków poetyckiego myślenia, zdołałbym może w drodze czystego rozumowania dojść do wniosków, osłabiających choć w części absolutyzm narzuconego mi przykazania społecznego, że w warunkach danego miejsca i czasu, Roman Darnowski, urzędnik dobrze patentowany i protegowany, *powinien* pozostać we wsi stryja, zamiast objąć wysoką posadę kędyś bardzo daleko, skąd wszakże ludzie cało wracali nawet w czasach, kiedy nie znano kolei żelaznych. No, ale nie ma innego wyjścia; biorę się tedy do obrachowania zysków i strat wyjazdu lub niewyjazdu, a czynię to, ma się rozumieć, w obrębie odpowiednich wskazówek powieściowych. Mierzę, ważę, dodaję, odejmuję, mnożę — aliści nagle, gdy głowę podniosę, spostrzegam, że mała Bronia patrzy na mnie tak dziwnemi oczami, jak gdyby i mnie również, nie tylko Romana, uważała za „Australczyka..." Oczywiście, Bronia wie dobrze, że głupstwem jest tabelka Pitagorasa, gdzie chodzi o miłość,— Roman kocha się w Irence. A! w to mi graj cie! Pędzę czemrychlej do psychologii i punkt po punkcie sprawdzam, w jakim kierunku uwydatniają się tym razem uczucia dwojga młodych ludzi—we wschodnim, czy w zachodnim. I jestem już na str. 107, kiedy oto wchodzi stary Darnowski, stryj Romana i zaczyna mi nad uchem trąbić wieczyste swoje „co tu robić, kotku, co tu robić — tak jest, miłość, uwydatnienie — trufel w pasztecie, szuflada w komodzie,—co tu robić, szuflada... trufel — tak jest, co to robić — pasztet," a wali tych przypowieści stosy takie, że choćbym lat trzydzieści przemieszkał w stolicy, gdzie się Roman kształcił, domyślę się w końcu muszę, że właściciel Darnowski bierze mię za rabusia, pragnącego pozbawić go bezpłatnej nauczycielki w domu, Ireny. Miłość, sprawy publiczne, wschód, zachód, sztuka, uwydatnienie — to zaledwie szuflada; wychowanie dziatwy — to dopiero komoda.

Świetnie. Wolnoż nam choć teraz nareszcie przystań tę uważać za bezpieczną i na niej chwilowo poprzestać? Daremne pytanie. Bywają sytuacye troglodyckie. Zakątek, który w niej autorka wybrała, jest tak ciemny, mglisty, wyziewami wilgoci zasnuty, że nie wiadomo ani gdzie przysiąść, ani o co się oprzeć. Spotykasz tu rozmowy między ludźmi inteligentnymi, których znaczenia zupełnie nie pojmujesz, trafiasz na wypukłości tak śliskie, że się nie utrzymasz na nich, choćbyś stanął na czworaki, potrącasz o sceny, przypominające nastrojem mistycznym czasy hymnów wedyjskich, jak np. w miejscu, gdzie Stefan Darnowski każe „podwójnemu" swojemu bratu Kazimierzowi powtarzać za sobą następującą perorę: „Uklęknij, módl się! Boże, któryś mię stworzył, ziemio, z której powstałem, przebaczcie! Zem prawu twojemu, Stwórco, służyć nie chciał, przebacz! W planie twoim olbrzymim i dla naszych umysłów zakrytym rzuciłeś wielką linię cierpienia. Nie wiemy, czem jest ona i do czego wiedzie, ale że odwróciłem od niej serce i siły swoje— przebacz" (str. 265). Nie taję, że po tylu i takich dowodach umysłowego stanu Darnówki i okolic, Roman istotnie nie powinien rodzeństwa opuszczać — i szkoda tylko jeszcze, że w stolicy nie studyował medycyny.

„Znane dzieje" Kowerskiej mają bez porównania wyrazistszy wygląd, pomimo to wszakże nie wymagajcie i tym razem gałki sędziowskiej — białej lub czarnej. Wiele już zrobił recenzent, jeśli zrozumiał osnowę opowiadania i odkrył w niem klameczkę honorowego dla siebie wyjścia z labiryntu dyskusyi szerszej, zasadniczej. Tym razem zresztą nie ma też rzeczywiście poważnego powodu do takiej dyskusyi. Jak u Orzeszkowej zbyt silny kolor lokalny nie pozwala wyprowadzić rzeczy na jaśnię, tak znowu u Kowerskiej owa

---

szczelinę między drzwiami, a murem, do którego zwykle tak szczelnie przylegały?... Słabiutka myśl nadziei, urojenie zbolałego mózgu, wstrząsnęła jego istotą. Powlókł się ku widzianemu, a niezwykłemu zjawisku. I łecinchno, wkładając z tysiącem ostrożności palec w szparę, pociągnął drzwi ku sobie... O Jehowo! nadzwyczajnym trafem sługa, który zamykał kaźń, zawcześnie obrócił klucz. Rygiel nie wszedł w zwykły otwór, drzwi otwarte!!

Rabin z największą nieśmiałością wyjrzał na zewnątrz.

W bladym mroku rozróżnił półkole murów ziemistych przebitych ślimakami schodów; naprzeciw zaś pięć lub sześć dominujących stopni kamiennych, rodzaj czarnej kruchty, która stanowiła wejście do przestronnego korytarza. Lecz z dołu ledwie kilka łuków krużganka pochwytywało oko.

Wyciągnął się tedy i zaczął pełznąć ku nim. Tak, istotnie korytarz otwierał się przed nim, ale jakże niezmiernie długi! Blade światło, światło snu oświecało go: lampki zawieszone na sklepieniach błękitniały w odmierzonych przestankach ciemności, dalekie tło zlewało się w gruby cień. Po bokach na całej przestrzeni ani jednych drzwi! Z jednej strony małe otwory zakratowane przepuszczały nieco zmroku—zmroku wieczornego, tu i tam przeciętego czerwonym promieniem zachodzącego słońca. Co za przerażające milczenie!... Jednak tam, tam w głębi ciemnej jakiejś wyjście może istniało! Chwiejąca się nadzieja żyda była zarazem upartą, bo była ostatnią.

Więc nie ociągając się stąpił na płyty korytarza, tuląc się jednem ramieniem do ściany, usiłując nie wyjść z pod muru, z którego ciemną barwą się zlewał. Posuwał się zwolna, pełzał przyciskając często piersi do ziemi, wstrzymując krzyknięcie, ilekroć jaka rana świeżo urażona zabolała straszanie.

Naraz odgłos sandałów depczących kamienny chodnik doleciał jego uszu. Drgnienie go przebiegło, strach ścisnął gardło, w oczach pociemniało. Oho! już po nim, po nim na pewno! Przykucnął pół martwy w bocznem zagłębieniu i czekał.

To jakiś famulus śpieszył się. Przeszedł chyżo, z narzędziem do szarpania mięśni w ręku, zębem spuszczonym, straszny. I znikł. Rabin pod wrażeniem śmiertelnej trwogi, godzinę może leżał bez ruchu. W obawie jeszcze straszniejszniejszych mąk zmienił zamiar, postanowił wrócić do groty. Ale dawna nadzieja szeptała mu w duszy, wyszeptywała to „może!" które w najstraszniejszem położeniu wzmacnia. Cud z nim zdarzył się! Ani wątpienia! I zaczął dalej pełznąć ku możliwemu ujściu. Wycieńczony bólem i głodem, posuwał się! A ten grobowy korytarz zdawał się wydłużać tajemniczo, lecz on nieustannie posuwając się patrzył wciąż w cień, tam gdzie musiała być furtka zbawienia.

— Ach! ach! Oto znowu kroki zabrzmiały, ale teraz wolniejsze i bardziej ponure. Zarysy białe i czarne, o długich kapeluszach z zagiętymi brzegami, zarysy dwóch inkwizytorów ukazały się przed nim, oddalone jeszcze, na tle pół mroku. Rozmawiali cicho i pono różnili się w jakiejś ważnej sprawie, bo ręce ich poruszały się gwałtownie.

Na ten widok, rabi Aser Abacbanel zamknął oczy, serce jego omal nie rozparło mu piersi, przez łachmany przenikał zimny pot agonii, pozostał nieruchomy, bez tchnienia, przyciśnięty do zimnego muru, pod promykiem lampki, błagając Boga Dawida.

Naprzeciw niego dwaj inkwizytorowie zatrzymali się w obrębie światła. Zapewne przypadkiem tylko, bezwiednie wśród zawziętej dyskusyi. Jeden z nich słuchając towarzysza, rzucił okiem na rabina! I pod tym wzrokiem, którego wyrazu roztargnionego żyd początkowo nie pojął, nieszczęsny czuł już szczypce rozpalone, szarpiące ponownie jego biedne ciało; więc znowu miał stać się jedną skargą i raną! Mdlejąc, nie mogąc odetchnąć, z powiekami drgającemi, trząsł się pod dotknięciem tego wejrzenia. Ale, rzecz dziwna zarazem i naturalna, oczy inkwizytora były

jaśnia potęgują się niemal do stopnia komunału wszechludzkiego. „Młode panny źle sobie ścielą łoże przyszłości, ilekroć *nieroztropnie* wychodzą za mąż“ — takiem jest etyczne godło utworu. Wykład odbywa się z pomocą pamiętnika Eweliny, narzeczonej Kazimierza W. Narzeczonego, na razie, nie mamy pod ręką; wysłano go na rok w podróż, niby dla próby, tymczasem panienka tańczy, śpiewa, gra, je, pije — a pisze i pisze. Pokaże to Kaziowi, gdy wróci. Atoli, czas jakiś niema czem tak bardzo się chełpić. Proza, nie przeczę, gładka, w szczęśliwszych chwilach wzorzysta, ale nie nadto, aż do kulminacyjnego punktu w powieści, nazwanego przez Ewę „wiarołomnem wzruszeniem...“ Dziecińtwo to polega na trzpiotowatych rozmowach z niejakim panem Augustem, który pewnego dnia, wziąwszy czyżyka za konika, oświadczył się Ewie ze swym afektem i dostał odprawę wśród łez i zaklęć najgorętszych, że to była tylko najszczersza przyjaźń. Przygoda, szczegółowo opisana w pamiętniku, otrzymuje następującą notatkę uzupełniającą: „Doznałam ulgi, uczyniwszy to piśmienne zwierzenie, które miałam dać do przeczytania Kazimierzowi jeszcze przed ślubem“ — dała zaś po ślubie i krytyk aż skacze z radości, że pochwycił klameczkę rozwiązania i może z reszty tomu pokwitować siebie i redakcyę...

Pięknieby wyszedł! Kazio zarówno przed, jak i po ślubie „wiarołomne wzruszenie“ Ewy odczyta z temże samem zaciekawieniem, co i wiadomość w gazetach, że Menelikowi konia ubito pod siodłem. Dlaczego? —nie kocha Ewci?—Ach, i owszem. Wierzy za wiele w jej prawość? E, tak sobie. Kłopoty ma pieniężne?—Ba, to stara historya. Więc chyba chory? — O, nie, zdrów jak ryba... Przyczyny są nieskończenie szersze i ciągną się od str. 179 do 219, tj. do chwili, kiedy nauczycielka dzieci Eweliny otrzymuje od niej na śmiertelnej pościeli pamiętnik z poleceniem pokazania go p. Augustowi, sama zaś kreśli nam taki portret męża umierającej: „Był to piękny mężczyzna, o ciemnych włosach i szafirowych oczach, i piękność jego mogła była być bardzo sympatyczna, gdyby nie pewne zaniedbanie w ruchach, pewne zarozumiałe zaciskanie ust przy słowach zwięźle rzucanych, pewne odrzucanie w tył głowy i fanfarońskie przymrużanie oczu, które go czyniło zbyt podobnym do wiejskiej, brukowej, na każdym kroku spotykanej młodzieży i dawało mu pozór pospolity. Wydał mi się i był rzeczywiście lekkomyślnym, płytkim, bez złych popędów i nawyknień, ale też bez szlachetniejszych dążeń — typ codzienny człowieka, którego wychowanie i życie nie nauczyło niczego, prócz nieodróżniania się niczem od innych jemu podobnych ludzi.“

A Ewcia? — Gdzie u Ewci były oczy, kiedy Kazia wybierała? Tego nie wiem, przypuszczam, że były na właściwem miejscu. W każdym razie niezaprzeczonem zdaje się być to tylko, że w główce jej istniał duży nieład. Niejakie na to dowody znalazłyby się w samym pamiętniku i chętnie by się je przytoczyło, gdyby kto zaręczył, że obciążają one rzeczywiście bohaterkę, nie zaś autorkę. Tym sposobem i sens moralny powieści chwiejnie się nieco przedstawia. Żeby szczęśliwie wyjść za mąż, trzeba mieć roztropność, żeby roztropność posiąść, trzeba się wpierw uczyć, później dopiero się zakochać... Lecz uczyć się u kogo?

J. T. Hodi.

ODCZYTY.

Walery Gostomski: *O wszechwładztwie powieści nowoczesnej.* — Zofia Joteyko: *O życiu komórki.* — M. Hellpern: *Dlaczego płomień świeci.*

Gostomski W. wystąpił na katedrze jako pogromca powieści współczesnej, zaznaczył jej przewagę w literaturze i ogromny wpływ na rozwój umysłowy społeczeństwa. Ten obfity dział płodów wyobraźni swoją formą osłabia poczucie i smak estetyczny w czytelnikach a treścią nie podnosi ducha do wyżyn ideałów. Powieściopisarze dają wierny obraz uciążliwej bezustannej walki życia, grzebią się w drobiazgach, zaglądają do skrytek duszy dają obraz uciążliwej, bezustannej walki o kawałek chleba. Do napisania powieści zbytecznem jest natchnienie; wystarczy trochę wyobraźni, wprawy, daru spostrzegawczego, pewnej sumy ustalonych zapatrywań na świat. Do czytania zaś tych utworów niepotrzeba wysiłku umysłowego, więc szeroki ogół chętnie go spożywa. Większa część powieściopisarzy podchwytuje upodobania tłumów, dogadza ich pragnieniom, wywiesza hasła chwili bieżącej; słowem stworzyła „przemysł“ osobny, który szerzy ujemny wpływ moralny. Poezya nie posiada silnych środków walki z powieścią, bo wymaga nadzwyczajnej podniety ducha. Zmknęły pełne uroku walki rycerzy opancerzonych, w życiu dzisiejszem zapanowała praktyczność, która nawet naukę nałamała do swych potrzeb. Przemysł, handel i mieszczaństwo przygniotły ciężarem swej prozy wszelkie porywy poezyi. Na jej zgliszczach powstała powieść, protokólistka zdarzeń życiowych i charakterów ludzkich. Prelegent jednak nie zapomniał o uprzejmości, więc łagodzi swój sąd ogólny wyjątkami, składa hołd Sienkiewiczowi.

Poglądy p. Walerego Gostomskiego jakkolwiek srebrzą się pianką stylową, płyną jednak, bardzo wązkiem łożyskiem. Zapomina on, że artyzm w prozie, naturalnie pochodzący z czystej krynicy talentu, dosięga granic wysokiej doskonałości, że mieści w sobie skarby poezyi; że powieść stworzona przez umysły głębsze, obejmującej szerokie widnokręgi, ogarnia zagadnienia nie codzienne, że wstrząsa nietylko nerwami, lecz budzi szlachetne pierwiastki ducha. To wszystko, co prelegent powiedział o powieści, jest w znacznej mierze słuszne, ale stosuje się ściśle do tej miernoty i tandety, która bezkarnie zaśmieca obficie literaturę „piękną.“

P. Zofia Joteyko podała słuchaczom skrawek tajemnic przyrody, bardzo ciekawy i pożyteczny dla tych, którzy mają jakie takie podstawy elementarne. Wykładowi prelegentki zarzucono niepopularność, pomimo, że nawet dla ludzi odrobinę rozgarniętych nie było tam nic trudnego do zrozumienia. Zdaje się, że zwolennicy popularności nazbyt daleko posuwają swe wymagania i zanadto śmiało na oślep oceniają poziom umysłowy słuchaczy. Że się tam trochę zabłąka tych, dla których nawet „Nauka o rzeczach“ jest nieprzystępna, to przecież nie podobna stosować wykładu do stopnia ich rozwoju umysłowego. Zresztą odczyty nie mogą być systematycznym kursem nauk przyrodniczych z podziałem na klasy, pomimo że to byłoby może pożądanem. Zjawiska, przedstawione przez p. Jot. są tak znane, że nie będziemy ich streszczać. Dodamy tylko, iż byłoby szkoda pozostawiać tę rzecz w rękopisie. Wykład „o życiu komorki“ w formie broszury mógłby wzbogacić literaturę popularno-naukową, z pożytkiem dla tych, którzy nie mogą korzystać z innych prac w owym zakresie

---

oczywiście oczyma człowieka głęboko zajętego tem, co miał odpowiedzieć, pochłoniętego myślą o tem co słyszy: były weń utkwione, a jednak *nie widziały go.*

Istotnie po kilku minutach, dwaj dysputujący poszli dalej zwolna, rozprawiając po cichu, ku rozdrożu, skąd więzień wyszedł. Nie widziano go!... I w strasznym wirze uczuć, nieszczęsny myślał chwilkę: „Czy już zmarłem, że mnie nie widzą?“ Ohydne wrażenie wywiodło go z letargu: patrząc na mur naprzeciw siebie, sądził przez chwilę, że widzi tuż po przeciwnej stronie cudze jakieś okrutne oczy, obserwujące jego poruszenia!... Zarzucił głowę wstecz ruchem szalonym i nagłym i włosy stanęły mu na głowie!... Nie, nie, wyszeptał. Ręka jego dotknąwszy kamieni zdała sobie sprawę: to było odbicie oczu inkwizytora, które tkwiły jeszcze wświdrowane w jego źrenice; odbicie to mózg jego przeniósł na dwie plamy muru. W drogę! należało śpieszyć się do celu, gdzie czeka nań wyzwolenie! podążać w kierunku cieniów, gdzie już może trzydzieści tylko kroków należy odbyć. Więc na kolanach, na dłoniach jął dalej pełzać, dalej sunąć się na brzuchu, wśród bólów i wnet wszedł w ciemną część strasznego korytarza.

Naraz nieszczęsny poczuł zimno na grzbiecie rąk, których dłonie głaskały płytę; pochodziło ono od gwałtownego powiewu wiatru, prześlizgującego się dołem małych drzwiczek, kończących dwa mury. Ach, Boże! Gdyby te drzwi otwierały się zewnątrz!... Cała istota nieszczęsnego zbiega doznała jakby zawrotu nadziei. Przypatrywał się im od góry do dołu, nie mogąc dobrze odróżnić ich osobnych części z powodu ciemności. Macał: ani rygla, ani zamku. — Zasuwka!... Podniósł się: zasuwka ustąpiła pod jego palcem; milczące drzwi rozwarły się.

„Alleluja!“ wyszeptał w bezmiernem westchnieniu wdzięczności, teraz już stojący na progu, oszołomiony widokiem, jaki odkrył się przed nim.

Drzwi wychodziły na ogród, ogród pod nocą gwiaździstą, owiany wiosną, swobodą, życiem. Tam za nim musiały leżeć pola, ciągnące się aż ku sierrom [1], których wygięte błękitne linie falowały na horyzoncie. Tam było ocalenie!—O, uciec! Biegłby całą noc tymi lasami cytrynowymi, z których dolatywała go woń. Dotarłszy gór, byłby zbawiony! Oddychał dobrem świeżem powietrzem; wiatr przywracał go do życia, płuca zmartwychpowstały. Aby podziękować Bogu, za to, że zlitował się nad nim tak łaskawie, wyciągnął ramiona przed siebie i oczy wzniósł ku gwiazdom. Znajdował się w ekstazie.

Wtedy zdawało się mu iż widzi jak gdyby cień jego ramion zwrócił się ku niemu samemu; że czuje jakby te ramiona otaczały go, oplatały. Czy przycisnął go ktoś czule do piersi? Istotnie wysoka jakaś postać była przy nim. Pełen ufności spojrzał ku niej i stanął naraz przerażony, oszalały, z okiem bez błysku, drżący, wydąwszy policzki, z pianą cieknącą z ust.

— O zgrozo! Ujrzał się w objęciu wielkiego inkwizytora, czcigodnego Piotra Arbueza d'Espili, patrzącego nań oczyma pełnemi łez, z wyrazem dobrego pasterza, odnajdującego zbłąkaną owieczkę!...

Ponury kapłan przycisnął do serca nieszczęsnego męczennika z tak potężnym wybuchem litości, że żądła włosiennicy mniszej skaleczyły pod sutanną jego pierś dominikańską. I podczas gdy rabin Aser Abarbanel z oczyma zwróconemi pod powiekami charczał ze zgrozy jakby skuty obręczą i zaczynał rozumieć niejasno, że wszystkie fazy strasznego wieczora były tylko przewidzianemi torturami, za pomocą nadziei, Wielki Inkwizytor z akcentem kolącego wyrzutu i z wejrzeniem zdziwionem, szeptał mu do ucha gorącem tchnieniem:

— Jak to, moje dziecię! W przeddzień, może, zbawienia... chciałeś nas opuścić?!

Z fran. W. Bugiel.

[1] Sierra—góra.

Odczyt p. Heilperna zaliczyć należy do przystępnych w całem znaczeniu. Mówca przy pomocy doświadczeń wybornie wyłożył istotę płomienia i unaocznił jego części składowe.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

— *Wydawnictwo dzieł Williama Shakespeare'a*, które podjęła obecnie pod redakcyą d-ra Hendryka Biegieleisena księgarnia polska we Lwowie, jest godnym zaznaczenia objawem na polu zbyt mało u nas spopularyzowanej literatury shakespearowskiej. Z dawnych wybrano przekłady Koźmiana i Paszkowskiego, jako uznane przez krytykę za najlepsze. a więc i za najbardziej zbliżone do oryginału. Utwory pozostałe, dotąd niełomaczone, ukazują się w bardzo pięknych przekładach Jana Kasprowicza, A. Langego i St. Rossowskiego. pierwszy raz może odtwarzających po polsku iście shakespearowskiego ducha.

W układzie zatrzymano podział na tragedye, właściwe arcydzieła Shakespeare'a, to jest dramaty rzymskie i komedye, przeważnie tłomaczone na nowo. Na końcu każdego z tomów, których ukazało się dotąd pięć, redaktor umieścił objaśnienia, obejmujące czas i historyę powstania każdego z utworów, o ile szczegóły te są już wiadome. Całe wydawnictwo zakończy studyum o Shakespearze w świetle nowszych poglądów z podaniem kolei, jakie przechodziły u nas na scenie i w literaturze. Forma bardzo poprawna i staranna.

— Jarosław Vrchlicki przełożył na język czeski *Dziady* Mickiewicza.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI

Dwa wypadki zajmują w tej chwili całą Galicyę: sejm we Lwowie i zmowa zecerów. Nie będę się zastanawiał nad szczegółowemi pracami teraźniejszej kadencyi sejmowej, bo zabrałoby mi to zbyt wiele miejsca. Nie dlatego bynajmniej, aby prace te były małej wartości lub nie interesowały wykształconych czytelników, ale że są niekiedy zbyt miejscowe i wymagają dużego obznajomienia się z całą maszyną administracyjną; przelać tę znajomość w czytelników oddalonych i trudno i nie na wiele by się przydało. W miarę potrzeby i ważności przeto zastanowimy się nad tą lub ową sprawą, podniesioną w sejmie. W tej chwili pragnąłbym scharakteryzować stronę duchową, jeżeli można tak powiedzieć, naszego Sejmu i zapoznać czytelnika, lubującego się w złudzeniach, z tymi hamulcami, które prawidłową, sprawiedliwą i pożyteczną dla wszystkich pracę czynią prawie niemożebną. Rezultaty obrad sejmowych są zawsze u nas jednostronne, nie zadowalają szerokich kół interesowanych i wywołują zaognione nieporozumienie między wyborcami a wybranymi.

Przypatrując się ludziom i robocie z bliska, znając bardzo wielu z tych, którzy w niej udział biorą, przekonałem się, że żadnemu prawie z posłów nie można zrobić poważnych zarzutów, oprócz tej garstki, która reprezentuje siebie tylko i własny interes. Ale gdzież takich nie ma! A jednak zebrani razem do sali sejmowej pracują tak. jak rozklekotana maszyna parowa. Wszystkie części jej funkcyonują wprawdzie, ale wydaje ona przeraźliwy hałas. stuk, świst, syk, które pozwalają doświadczonemu mechanikowi zdaleka już poznać stan nieprawidłowy. Na pozór wszystko w porządku; dopiero po bliższem zbadaniu widać, że sprężyna w tłoku zużyta i stara, zasuwa nie pasuje, a regulator nie w porę otwiera się i fałszywie alarmuje. Jużci reparacya przy takim stanie rzeczy potrzebna. Łatwiej jednak poprawić machinę parową, niż te stosunki społeczne, które przez długie lata składały się na nieregularną i niespokojną pracę Sejmu galicyjskiego.

Jest on w takiem przykrem położeniu, które nie pozwala mu spokojnie pracować; nic przeto dziwnego, że przy *maximum* wysiłku pracy daje *minimum* wyników. Czas upływa u nas nie na naradach, jak zrobić najlepiej i najpożyteczniej to lub owo, lecz na sporach teoretycznych, na wzajemnych waśniach, oskarżeniach. które poprostu dla obojętnego a raczej spokojnie przypatrującego się obserwatora przypominają sądy wiejskie, w obecności wójta odbywane.

Nasuwało mi się pytanie, które niejednemu zapewne nasunąć się musiało: dlaczego tak się dzieje i czy nie może być inaczej?

Próbą rozwiązania tej zagadki pragnę się podzielić z czytelnikiem. Każde społeczeństwo w miarę rozwoju różniczkuje się. Tej prawdy dowodzić chyba nie potrzeba. Skutkiem tego wytwarzają się rozmaite warstwy — nie kasty — bądź z powodu charakteru pracy, bądź warunków życia i zarobkowania. Dość, że się tak dzieje. Każda z tych warstw posiada odmienne warunki ekonomiczne, które w prawidłowem życiu państwowem uwzględnienie znaleźć muszą. Zaspokoić je nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. ale dążyć do zaspokojenia jest obowiązkiem pracy publicznej. Któż o tych potrzebach ma myśleć i radzić? Zdawałoby się. że ci, którzy najlepiej znają pewną warstwę, dają rękojmię najpotężniejszej pracy. najskuteczniejszej obrony jej dobra, jako też posiadają tyle rozwinięte poczucie polityczne. że dążyć będą nie do rozerwania, lecz do spojenia i pogodzenia interesów tej lub owej grupy z interesami ogólnymi. Wysunięcie na czoło tego rodzaju przedstawicieli nadałoby robocie sejmowej charakter zgodny, poważny i obfity w dobre następstwa.

Jakiż jest obecny skład sejmu galicyjskiego?

Dość przejrzeć spis posłów. ażeby się przekonać, że $^3/_4$ ich należą bądź urodzeniem i tradycyami, bądź też stanowiskiem materyalnem do warstwy, która się nazywa szlachtą lub ze względów polityki utylitarnej stoją pod jej sztandarem. Na resztę pozostaje kilku opozycyonistów, dla których sejm nie jest bynajmniej polem do pracy, lecz środkiem do pozyskania popularności, a z nią chleba powszedniego. Od czasu do czasu któryś z tego obozu przechodzi w stan spoczynku przy pomocy jakiegoś urzędu, na jego miejsce występuje inny — i znowu powtarza się to samo. Nie są to ani politycy, ani ludzie czystego charakteru, których słowo szanowane bywa nawet wówczas, gdy się na nie godzić nie można. Z takimi ludźmi trzeba walczyć, ale ich w rachubę brać niepodobna.

Obok tej grupki stoi gromadka złożona z kilku posłów włościańskich, którzy ani wykształceniem, ani rozumem, ani wyrobieniem politycznem nie dosięgają swego stanowiska. Wyjątek robię tylko dla d-ra Bernadzikowskiego, który jest wprawdzie posłem włościańskim, ale włościaninem nie jest. Inni są wprawdzie ludźmi godnymi zaufania ze swego okręgu wyborczego, ale też na tem wszystko się kończy. Gdyby chodziło o rozstrzygnięcie sporu granicznego, wynikłego z podziału gruntów, między Maćkiem a Grzesiem, niewątpliwie każdy z nich wywiązałby się z zadania znakomicie, ale w Sejmie żaden, oprócz własnej strugi, innej nie widzi. Natchnienie, czerpane od prowodyrów zewnętrznych. rozpływa się w sali sejmowej potokiem frazesów. których często zlepić nie można. W sprawach ogólniejszego znaczenia głosy ich nie na szalę nie kładą, oprócz zdawkowego balastu, czerpanego z sympatycznych pisemek. Zwiększają oni hałas i zamieszanie, ale pracy nie popychają o krok jeden, nic dobrego nie robią dla swoich wyborców nawet—jak to mówią—na zawinięcie palca.

Mogłoby się komuś zdawać— boć u nas musi być zaraz klasyfikacya! — że przeciwko reprezentacyi włościańskiej w Sejmie występuję, że naturalnie ruch ludowy pragnąłbym co najmniej zamordować, a Sejm złożyć z takich geniuszów do wszystkiego, jak hr. Wojciech Dzieduszycki. Nic podobnego nie pragnę. Pragnę tylko zdać przed samym sobą sprawę, o ile reprezentacya włościańska w dzisiejszym składzie Sejmu jest pożyteczną, o ile i dla czego nie jest?

Przyszedłem do tego przeświadczenia, że ona pożyteczną nie jest, a nawet nie może być z bardzo wielu powodów. Przedewszystkiem jest liczebnie bardzo małą. Wobec tego względu zmniejszyłaby się znacznie, gdyby w tej grupie był bodaj jeden, któryby osobistym rozumem, doświadczeniem, wykształceniem i wymową na sejm oddziaływał. Tam, gdzie logika w grę wchodzi. można Izbę pociągnąć za sobą siłą rozumowania, przekonania i dokładną znajomością przedmiotu. Z pośród posłów włościańskich ani jeden na tej wyżynie nie stoi. Są to ludzie od pługa i sochy. Można być genialnym wójtem, a nie mieć żadnej kwalifikacyi na posła do Sejmu. Tak też się zdarza i teraz. Nie jest w tem wina wyborców, bo ciemni, nieświadomi i biedni nie mają pojęcia o sprawach publicznych. a wybierają tych, których się boją, których potrzebują lub z którymi mogą się łatwo porozumieć. W ich sferze *nie ma jeszcze* ludzi dobrze znających interesy krajowe i wykształconych. Nie winni i ci. którzy z dobrej woli przedstawicielstwo przyjmują. Na chęci służenia im nie zbywa, a zdaje się im, że to przecie niewielka rzecz gadać w Sejmie. I gadają. Pasowany na bohatera w bieżącej kadencyi Bojko, niczem się od innych nie różni. tylko większą swadą, większem otrzaskaniem się między „panami" i pełnemi ustami głośnych frazesów. Zmuszają go do popisów, więc mówi, ale punkt jego widzenia jest zupełnie taki, jak owego posła. który, zabierając głos przeciwko istniejącej ustawie łowieckiej, przytoczył argument, że mu zające szczepy ogryzły. Zupełna prawda! Ale temu, który ma prawo polowania, także ogryzają, tylko że to nie jest winą ustawy łowieckiej, ale — dziurawych płotów lub złego ogrodzenia. Ustawa jest dla ludności wiejskiej bardzo uciążliwą, o tem nie ma co mówić, ale wobec takich argumentów, jak zające, nie nie ustępuje.

Krótko mówiąc, sfera włościańska budzi się dopiero do życia publicznego. Nigdzie jeszcze nie jest ona wykształconą, a tem bardziej u nas. Z tego wynika, że ona własnych interesów reprezentować nie umie, z pośród siebie zdolnych jednostek nie wysyła, a zająwszy dzięki rozmaitym czynnikom, stanowisko nie pojednawcze, nie ogólniejsze, lecz wrogie i odporne, nie przynosi do wspólnej pracy ani jednej cegiełki, a dla tej warstwy. którą reprezentuje, nie jest w stanie nic dobrego zrobić! Obietnice tego, czego uczynić nie mogą, drażnią stronę oczekującą nierozsądnie i bez potrzeby a tem więcej, im grupa wyborców jest mniej wykształconą. Gdzie chodzi o wywołanie bójki, tam taka polityka dobra; gdzie chodzi o pracę i o pożytek z niej, tam ona szkodę tylko przynosi.

Interesy prawie wszystkich innych warstw skupiają się w ręku owych $^3/_4$ po-

słów, o których wspomnieliśmy. Większość między nimi należy do ludzi bardzo wybitnych doświadczeniem, wykształceniem umysłowem i politycznem, dokładną znajomością spraw krajowych. Jako większość, kierują temi sprawami. Dzięki tej większości, zrobiono bardzo wiele: rozszerzono komunikacyę, popchnięto sprawę regulacyi rzek, stworzono szkoły fachowe, rozszerzono ilość wiejskich — jednem słowem zrobiono bardzo wiele tam, gdzie interes tej większości stał na pierwszym planie; gdzie zaś bywał na szwank narażany, tam żadnego prawie ustępstwa nie zrobiono. W ten sposób obszar dworski i gmina istnieją osobno, a przełożony pierwszego przyczynia się do kosztów ogólnych tylko jako jednostka bez względu na to, co posiada; w ten sposób ustawa łowiecka jest przywilejem szlachty.

Z tego, co powiedziałem, wypada, że polityka sejmowa, jako polityka większości, jednej warstwy, jest jednostronną i często niesprawiedliwą. W całej Europie rozmaite warstwy narodowe o tyle już dojrzały, że mogą posyłać do sejmów wykształconych przedstawicieli, którzy stosunek stronnictw uregulowali według przekonań, nie zaś według posiadania materyalnego; u nas do tego nie doszło i Bóg wie, kiedy dojdzie. Skutkiem tego większość szlachecka, wzmocniona siłami ochotników lub satelitów, rządzi dotychczas w swoim duchu, w swoim interesie i usiłuje utrzymać władzę. Jest ona wysoce autokratyczną i arystokratyczną; prowadzi politykę, jak prowadziła dawniej i jakkolwiek nie mogła przeszkodzić chamom wejść do sejmu, korzysta ze swojej przewagi umysłowej i doświadczenia politycznego, aby rządzić wszechwładnie. Nie bym nawet przeciwko temu nie miał. Wolę władzę rozumnych i silnych, niż ambitnych a głupich, ale rozum powinien polegać na tem, ażeby pracować z równą gorliwością i dla tych, którzy go jeszcze nie mają. Barycry można skutecznie stawić dla koni i owiec, ale dla ludzi — nie. Większość sejmowa nigdy się nie wypowiada w tym duchu, ale w tym duchu pracuje. Tak więc z jednej strony stoją reprezentanci interesów klasowych, egoistycznych, względnie dobrze zorganizowani i uświadomieni, z drugiej — kupka awanturników bez jasno sformułowanych żądań i celów, hałaśliwa, niesforna, podniecająca się żółciowem rozgoryczeniem i gromadka włościan bez wybitnych uzdolnień, wykształcenia politycznego, wyrobienia i rutyny, skrajna w żądaniach a pozbawiona umiarkowania w pracy wspólnej.

Wobec takiego składu rzeczy czas obrad sejmowych upływa na bezużytecznych sporach, w wybrykach osobistych humorów, praca traci poważny i spokojny charakter, swary bawią galeryę, a większość robi swoje, tj. przeprowadza to tylko, co dogadza najwięcej interesom materyalnym większości. Jak długo na inne ustosunkowanie sił pracujących w Sejmie czekać nam trzeba — któż to zgadnie!

Przechodzę teraz do drugiej sprawy — zmowy zecerów. Dzięki jej, pracują tylko uczniowie — z czego znowu wynika, że dzienniki o połowę zmniejszyły swoją objętość. Żeby to był powód do zmartwień — nie powiem. Chodzi, jak przy każdej zmowie, o zwiększenie płacy zarobkowej. Na pozór rzecz wydaje się zupełnie słuszną i uzasadnioną. Obecnie istnieją trzy skale wynagradzama, stosownie do warunków życia — złr. 13, 11,50 i 9,50 tygodniowo — biorę cyfry okrągłe. Zecerzy żądają więcej. Nie w tem jednak tkwi rdzeń rzeczy, ale w tem, że pobudki przychodzą z Wiednia; stamtąd przyjeżdżają delegaci, kierują ruchem lwowskim i narzucają swoje warunki. Zdaje mi się jednak, że środek ciężkości tej sprawy tkwi nie w skali wynagrodzenia. Jedna z firm wydawniczych pragnęła wykonać w kraju robotę artystyczną i z propozycyą udała się do drukarni krajowych. Zachodziła wprawdzie wątpliwość, czy robota będzie wykonaną zadowalająco, ale pomimo to propozycye zostały zrobione i warunki podane. Wydały się nakłady zbyt wysokiemi. Udał się tedy do Lipska. Otrzymał tam lepszy papier i warunki o tyle dogodniejsze, że się pokrywał koszt transportu i jeszcze pozostawał jakiś plus. Idźmy dalej. Lipsk opłaca zecerów według pierwszej skali, tj. najdroższej, a jednak daje robotę tańszą i lepszą. Lwów i Kraków, o ile mi się zdaje, należą do skali drugiej, tj. do miejscowości o tańszych warunkach życia, a jednak cena druków jest tutaj droższa. Nie w wynagrodzeniu przeto tkwi jakaś nieprawidłowość, ale w innej stronie. W jakiej? — Pozostawiam to do rozstrzygnięcia ludziom fachowym.

Cho.

Z NIEMIEC.

Berlin, 7 lutego.

Jak krople ożywcze, spadli na glebę dziennikarską, spragnioną nowości: von Hammerstein, Fritz Friedmann i... Buddha. Wokoło tych trzech osobistości skupia się treść chwili bieżącej w Niemczech; trzy te nazwiska przeżuwa i przetrawia prasa i jej odbiorcy. Tych bohaterów wiąże zresztą nietylko ich wspólna rola żeru dla kaczki dziennikarskiej, lecz i krzywdy, wyrządzone każdemu z nich przez ironię losu. Profesor Knapfuss, mierny malarz, a jeszcze mierniejszy historyk, ogłosił wielkiego myśliciela Wschodu, za wichrzyciela porządku społecznego, podkopującego nauką swoją wszelkie zdobycze kultury i postępu. Jak opiewa nieuzupełnione wydanie plotek brukowych i jedna z wersyj wiadomości kuryerkowych, baron v. Hamerstein, sól ziemi pomorskiej i Mahomet *Gazety krzyżowej*, został wydalony z Aten jako anarchista. Chluba palestry berlińskiej, obrońca uciśnionych i pokrzywdzonych, Fritz Friedmann, ulotnił się z Berlina, spaliwszy za sobą mosty, łączące go ze społeczeństwem niemieckiem, lecz nie spalił niezręcznie sfałszowanych weksli. Podobno i Hammerstein ujawnił wielką nieudolność w dokonanem podrobieniu, co łatwo wytłomaczyć ze względu na to, iż jako nowicyusz, robił pierwsze chwiejne kroki na nowem dla niego polu. Wogóle los był o tyle nielitościwym dla Hammersteina, iż skazywał na role, do których nie był stworzonym. Ręka, która doskonale kierowałaby chłostą i szpicrutą na Pomorzu, musiała pisywać artykuły wstępne do *Gazety krzyżowej*. Samowładna i despotyczna wola, która doskonale nadawała się do urzędu jednego z feodałów pomorskich, musiała uginać się pod podwójnym ciężarem: Ossy komitetu redakcyjnego i Pelionu rozkazów partyjnych. On zaś buntował się przeciwko temu i usiłował pozostać zawsze sobą — junkrem. Był nim, gdy schlebiając Bismarckowi, nie bratał się z jego drużyną narodowo-liberalną. Junkrem był, gdy stojąc na stanowisku wstecznika krańcowego, mówił z pianą na ustach o oświacie i postępie.

Jako junkier, nie chciał praw wrzekomego pierworodztwa swej kasty sprzedać za soczewicę łask monarszych podczas obrad nad traktatem państwowym. Gdy zaś uczuł, iż grunt historyczny usuwa się pod stopami jego braci, starał się zyskać sprzymierzeńców kłamliwemi obietnicami i pochlebstwami. Tak zwanym „tyrolskim“ programem opłątał ciemne chłopstwo i przygotował grunt dla potężnego dziś „Związku rolniczego,“ spojonego pajęczyną fikcyi o zgodności interesów włościanina i junkra. Udając pobożnego, zyskał sympatyę Streckera i przeciągnął na swoją stronę społeczników chrześciańskich, żądając od kościoła protestanckiego, aby mu wydobył kasztany z ognia. Wymyślając na złotą międzynarodówkę, uznał bimetalistów jako apostołów zbawienia. Zawsze i wszędzie był junkrem nawet wtedy, gdy wymyślając na radykałów i przysięgając wierność tronowi, obrażał w poufnych listach majestat cesarski. Gdyby był pozostał tylko junkrem, nieźleby mu się wiodło w życiu doczesnem. Nieszczęśliwe zrządzenie losu pchnęło go na bezdroże dziennikarstwa, które się stało źródłem wszelkich jego klęsk. Musiał więc z podniesionemi do góry oczami, jak przystoi na konserwatywnego obrońcę porządku społecznego, prawić o upadku obyczajów, jakkolwiek cały Berlin wiedział o jego rozpuście; a mówi — że wspomnę mimochodem — o cnocie tak pięknie i rzewnie, iż wdzięczne członkinie jakiegoś ewangielickiego „Tagendbundu“ darowały mu bogato wyszytą poduszkę, na której spoczywały potem wdzięczne główki bogdanek bez różnicy stanu i wyznania; bo jakkolwiek z urzędu nienawidził i gromił żydów tak, iż zdawało się nieraz, że zapożyczył słownika od Ahlwardta, wywiezionego obecnie przez impresarya do Ameryki, zapominał jednak o odwiecznych wadach semitów w objęciach żydówki, Flory Gass, sprzedającej swe koszerne ciało *en detail* i *en gros* wielbicielom swych uroków. Instynkty junkra wzięły przewagę nad frazesami dziennikarza i zatopiły je w powodzi rozpusty. Gdyby pozostał u siebie na Pomorzu, piastowałby wiernie tradycyę swych przodków i stał niezachwianie na straży przywileju starodawnego *juris primae noctis*. W Berlinie dla zaspokojenia brutalnych chuci potrzeba było pieniędzy.

Mamony łaknęła dusza jego i z innych względów. Hammerstein był wprawdzie junkrem, nie był jednak ani hreczkosiejem, ani hodowcą, ani cukrownikiem, ani gorzelnikiem, lecz biednym dziennikarzem, t. zw. Tintenkulis, gryzipiórkiem. Mnogość włości nie upiększała tytułu baronowskiego. Będąc przywódcą, był faktycznie na utrzymaniu partyi. Będąc w parlamencie pierwszym na prawicy, był w rzeczywistości płatnym reprezentantem partyi, a w życiu prywatnem uchodził za najmitę, żyjącego łaską swych chlebodawców; chudopachołek junkier był nicością. Stąd jego chęć imponowania przynajmniej towarzyszom pióra; dlatego też patrzał na nich z góry i trzymał się od nich z daleka; tylko prof. Kropatschek miał prawo prowadzenia pod rękę możnego Hammersteina przez „Lipy.“ Stąd wreszcie jego chęć błyszczenia i rozbijania się. Wszak nie wypadało pozostawać w tyle za innymi synami ziemi pomorskiej i kompromitować wstrzemięźliwości. Z bożej łaski otrzymany tytuł baronowski, konflikty pomiędzy pochodzeniem a majątkiem, pomiędzy tytułem hrabiowskim a stanowiskiem dziennikarza, zaprowadziły barona v. Hammersteina przed kratki sądowe. Prasa tutejsza wytworzyła już całą mitologię hammersteinowską. Tak antisemickie pisma dowodzą, iż w żyłach b. redaktora *Gazety krzyżowej* płynie krew semicka, co niezbicie wskazują oku połówki jego nazwiska — „Hammer“ i „Stein.“ Organy konserwatywne opowiadają, iż zwrócił on na siebie uwagę w Atenach głośnem szlochaniem w kaplicy misyi niemieckiej. Szukał więc pocieszenia w religii, czegoby nigdy nie uczynił wolnomyślny Fritz Friedmann.

Pożegnajmy Hammersteina i przyjrzyjmy się drugiemu bohaterowi „dnia dzisiejszego,“ głośnemu adwokatowi Friedmanowi. Lew salonowy ze sfery bankierów i giełdziarzy, uwodziciel ich żon i kochanek, programowy i nadprogramowy

mówca ich uczt i uroczystości, był najbardziej wziętym obrońcą sądowym Berlina. Brak wykształcenia zmuszał go do używania w obronie efektów popłacających, choć nie chwalebnych. Pozwalał sobie na dowcipy podczas mowy prokuratora, przeplatano ulicznymi konceptami mowę obrończą bawił i rozśmieszał sędziów i audytoryum i na ostatek przedstawiał oskarżonego jako niezdarnego idyotę, który stał się ofiarą swej niezaradności. Niekiedy rozcieńczał mowę sentymentalizmem dla poskromienia skrupułów burzącego się sumienia sędziów. Mowy Friedmana stały się delikatesem pism brukowych, które jego produkcyą oratorską zapełniały swe kolumny. Dowcip jego zyskał mu popularność w kołach burżuazyi pieniężnej, której salony stały przed nim otworem. Lecz tu wśród przepychu i bogactwa czuł się nie swojsko. Sfery wyższe chętnie otaczają się talentami i geniuszami, lecz uważają ich za intruzów. Szubert, zaproszony do domu magnackiego (jak widać z jego listów), przez cały miesiąc nie dostawał pieczeni; Mozart w pałacu hrabiowskim (jeżeli się nie mylę, u hr. Esterhazego) jadał przy stole, przeznaczonym dla służby. Fritz Friedmann w domach milionerów nieraz musiał odczuwać swą nierówność majątkową wobec przyjaciół, których bawił swem błazeństwem. Usłużna prasa trąbiła, nie szczędząc przesady, o bajecznych honoraryach znakomitego mecenasa. Ujął pióro, pisywał powieści z życia zbrodniarzy, ze świata brukowego i buduarowego, próbował szczęścia w spekulacyach finansowych. Wszystko to jednak nie wystarczało. Wreszcie był zmuszony dopuścić się różnych nadużyć i uciec z Berlina ze swą 17-letnią utrzymanką, którą zabrał ojcu jako niezamożnemu klientowi tytułem honoraryum.

Dotychczas groziło Niemcom niebezpieczeństwo ze strony alegorycznego Sakia-Muni, jako uosobienia negacyi i pesymizmu, jeżeli nie brać na seryo kilku platonicznych zwolenników Buddhy wśród rzeszy muzy niemieckiej. Pewna firma wydawnicza w zwym cyrkularzu ogłosiła, iż „wzywa narody Europy do obrony przeciwko żywiołom, które świadomie lub z zaślepieniem dążą do zburzenia kultury.“ Lecz oto pewnego poranku okazuje się, iż Prusom grozi faktycznie najście Buddhy. Jakiś Dr. W. L., właściciel majątków rycerskich, wystąpił w jednem z pism agrarnych z projektem o zaradzenie brakowi rąk roboczych w Prusach wschodn. przez sprowadzenie najemników chińskich. Autor uskarża się mianowicie, iż prąd obieżysaski ciąży coraz więcej ku zachodowi. Aby zaś słowiańskim zastępom emigracyjnym zbytnio nie wyrosły rogi, najwłaściwszem byłoby sprowadzić chińczyków, których pracowitości i skromności autor nie szczędzi pochwał. Podniebienie słowian delikatnieje z każdym dniem, kartofle jako potrawa i przysmak, zaczynają im brzydnąć. Chińczycy będą przeto dla nich mistrzami i wzorem wstrzemięźliwości. Ponieważ zaś działanie właścicieli ziemskich na własną rękę nie jest w danym razie wystarczającem, powinno więc państwo wziąć sprawę tę w swoje ręce i zorganizować dowóz rąk roboczych z państwa Niebieskiego. Przeciwko temu projektowi wystąpił pewien urzędnik, dowodząc, iż właściciele ziemscy Prus wschodnich zrazili przybyszów z Królestwa swą niepomierną chciwością, wyzyskując w dodatku nieznajomość języka i ciemnotę słowian. Ofiary zrozumiawszy, co się święci, dążą więcej na zachód, gdzie chlebodawcy mniej folgują swej żądzy zysku. Urzędnik apeluje do sumienia agronomów i zachęca do staranniejszego przestrzegania zasady moralności chrześciańskiej w swych stosunkach z najmitami miejscowymi. W razie, gdyby to nie skutkowało, należy sprowadzać Chińczyków lub otworzyć gościnnie na całej linii wschodnie granice dla Słowian z Królestwa. Jeżeli prof. Knakfuss utożsamiał wschodnio-pruskie stosunki agrarne ze zdobyczami kultury i postępu, to sześciu nadobnym dziewicom pod dowództwem Michała Anioła i w towarzystwie św. Hermandaty z Aleksanderplatzu w Berlinie wypada w udziale niezbyt szczytne zadanie, gdy chcą obronić tę kulturę od wpływu.

H. F.

SZKOŁA.

I.

Szczególną uwagę zwrócono na nią w chwili obecnej. Zjazd rolników obradował nad szkolnictwem agronomicznem, wiec „profesyonalistów“ nad wszystkimi typami i zakresami szkół fachowych, wreszcie w sferach ministeryalnych jest rozpatrywana reforma wykształcenia zawodowego. Za trzy miesiące już się rozpoczynają wakacye, a po nich, o ile wieść niesie, tu i owdzie powstaną nowe ogniska nauczania, do dawnych zaś wejdą pewne zmiany. Przedewszystkiem położono nacisk na kształcenie elementarne i średnie, którego zreformowanie i przystosowanie do rzeczywistych potrzeb życia nie da się uskutecznić jednem pociągnięciem pióra. Tworzenie na poczekaniu i wprowadzanie nowych metod najczęściej w rezultacie daje znaczną sumę omyłek i zawodów. Taka samodzielność dobra jest wtedy, gdy się sprawdziło wyniki pracy długoletniej. Dlatego też wielce byłoby pożądanem dokładne obeznanie się z systemami, praktykowanymi za granicą, szczególnie tam, gdzie się daje spostrzegać nowy ruch pedagogiczny, tj. w Ameryce. Potrąciwszy o tak ważną dziedzinę, musimy chociaż szkicowo przedstawić ten obraz szkolnictwa zaoceanowego.

Każdy stan zarządza tam swojemi uczelniami, a biuro naukowo-wychowawcze przy ministeryum spraw wewnętrznych jest tylko pewnym łącznikiem, nie wywiera żadnego wpływu na prawodawstwo szkolne. Tym sposobem w Stanach Zjednoczonych nie może być mowy o ogólnej reformie pedagogicznej, jak w Europie. Wszelkie zmiany wchodzą tam organicznie. Każdy stan stara się nie pozostawać z tyłu, lecz zastosowywać u siebie wszystko, co jest najlepszego gdzieindziej. Kongresy, zjazdy, towarzystwa pedagogiczne stanowią również czynnik rozwoju i ulepszeń. Ponieważ w naradach, często odbywanych na zjazdach, biorą udział wytrawni, rozumni wychowawcy, więc ich postanowienia i poglądy wywierają wielki wpływ na całą sprawę szkolnictwa wszystkich szczebli.

Z wielu stowarzyszeń na szczególną uwagę zasługuje t. zw. *National Educational Association*. Na wiecu w lutym r. 1893 postanowiło ono szczegółowo i wszechstronnie zbadać sprawę nauczania elementarnego, opracować kwestye najpilniejsze, jak np. wykształcenie i uzdolnienie nauczycieli, cel i charakter uczelni początkowej itd. W tym celu stworzono t. zw. „komisyę piętnastu,“ która w lutym r. 1895 złożyła już na nowym zjeździe swoją pracę, dającą zupełny obraz nauczania elementarnego. Dodać musimy, że szkoła elementarna w Stanach Zjednoczonych skupia w sobie początkową i gramatyczną, z kursem ogólnym ośmioletnim. Uczęszcza do niej dziatwa w wieku od 6 do 14 lat. Wnioskom komisyi Amerykanie przypisują ogromne znaczenie i twierdzą, że po wprowadzeniu w życie przyczynią się one do olbrzymiego rozwoju szkolnictwa. Zasadnicza treść owych poglądów i uwag da się sformułować w sposób następujący: Szkoła powinna stać po za granicami partyj socyalnych, politycznych i religijnych. Przewodnicy tych instytucyj muszą wyrzec się wszelkiej partyjności i służyć całkowicie pedagogice. Szkoła powinna pozostawać w związku z życiem rzeczywistem, zaznajamiać dziatwę z otaczającą przyrodą i dziedziną duchową. Przy wyborze przedmiotów wykładowych i tworzeniu kursu trzeba przedewszystkiem pamiętać o tem, że głównem zadaniem jest obdarzyć dziatwę możnością rozumienia świata otaczającego. Wogóle szkoła powinna odpowiadać wszelkim wymaganiom cywilizacyi i kultury. Trzeba więc programy opracowywać na podstawach praktycznych, przedmiotowych, które, jak utrzymuje komisya, powinny całkiem zastąpić dotychczasowe subjektywne i empiryczno-psychologiczne, mające na celu wyłącznie rozwój tak zwanych zdolności umysłowych i posiadające charakter formalny. Środki te odgrywają taką rolę względem umysłu, jak ćwiczenia gimnastyczne względem mięśni, tj. dają siłę i giętkość, ale nie ułatwiają tym samym mięśniom i członkom pracy rzemieślniczej, zawodowej i wszelkiej innej. Oderwane ćwiczenie zdolności umysłowych, oparte na skojarzeniach psychologicznych, może rozwinąć wolę, rozum, wyobraźnię i pamięć, ale nie nauczy człowieka sposobów korzystania z tych darów dla dobra cywilizacyi. Gra w szachy jest wybornym środkiem ćwiczenia uwagi i logicznego badania myśli w sferach oderwanych, ale nie daje ona możności poznania przyrody i człowieka.

Niekiedy ideał psychologiczny, panujący w starej pedagogice, ustępuje miejsca ideałowi biologicznemu, który wypływa z psycho-fizyologii. W tym wypadku zamiast pojęcia o rozumie, jako całości, złożonej z różnych czynników, tj. woli, rozumu, wyobraźni, pamięci itd., których harmonijny rozwój jest niezbędny dla duszy ludzkiej, wyszły na jaw ośrodki nerwowe i zwoje mózgu. Teorya biologiczna także ma swoje wymaganie względem szkoły.

Komisya amerykańska przyszła do przekonania, że wnioski, osnute na psychologii i biologii, powinny zająć miejsce podrzędne w kwestyach szkolnych. Psychologia może dać ważne wskazówki, dotyczące metody i sposobów wprowadzenia do kursu przedmiotów wykładowych. Badania zaś naukowe w zakresie psycho-fizyologii postawią na właściwym gruncie hygienę szkolną, dadzą możność racyonalnego określania liczby godzin, ćwiczeń klasowych oraz fizycznych, niezbędnych dla wypoczynku umysłowego, wreszcie wyświetlą patologię pedagogiczną. Ale najgłówniejsze miejsce powinny zająć w nauczaniu potrzeby życia współczesnego. Taki jest ideał szkoły praktycznej w pojęciu pedagogów amerykańskich.

Uczelnia elementarna powinna obejmować wszystkie główne odłamy wiedzy ludzkiej w takich dozach, skróceniach i formach, jakich wymaga stopień rozwoju umysłowego ucznia. Ten typ szkoły jest pierwszym szczeblem wykształcenia. Ażeby ułatwić wychowańcom przejście z elementarnej do średniej, komisya postanowiła wprowadzić do programu pierwszej algebrę i łacinę. Szkoła elementarna powinna być przystępna i możliwa dla wszystkich, tj. dziatwy w odpowiednim wieku bez różnicy stanu. Ażeby wszakże całkowicie odpowiadała ona potrzebom, należy posiąść wysoce uzdolniony i dzielny personel nauczycielski i w ten sposób przyciągnąć dzieci nietylko warstw ubogich, pracujących, ale i zamożnych. Szkoła elementarna powinna obejmować następujące przedmioty: język rodzimy arytmetykę, geografię, historyę, nauki przyrodnicze, hygienę, jeden z języków obcych (francuski, niemiecki lub łaciński), algebrę, rysunki, śpiew, ćwiczenia

fizyczne, roboty ręczne (stolarstwo i ślusarstwo dla chłopców, szycie i kucharstwo dla dziewcząt). Język rodzimy jest głównym przedmiotem wykładowym, zwłaszcza w ciągu pierwszych czterech lat. Wychowawcy amerykańscy nadają mu ogromne znaczenie. Nauka czytania i pisania tudzież form gramatycznych, ma znaczenie pomocnicze. Zbyt długie zaprzątanie umysłu gramatyką może doprowadzić do szkodliwych wyników, jak również nadmierne ćwiczenie pamięci, które pozwala nagromadzić w umyśle dużo szczegółów podrzędnych, a natomiast odbiera zdolność uogólnienia i krytyki. Gramatyka, pomimo bogactwa treści — mówi komisya — spełnia rolę tylko ćwiczenia, pomija zaś historyczną i literacką stronę języka. Ciągłe, długoletnie zaprzątanie się rozbiorami gramatycznymi, którym poddawane są płody literatury, rozwija w uczniach obojętność i lekceważenie strony twórczej, pięknej, nacechowanej genialnością. Widzą oni tylko szkielet budowy gramatycznej. Podobni są do mularza, który oglądając wielkie dzieła architektury, widzi tylko kamień, cegłę, cement i wapno. To też ludzie, którzy przeszli tego rodzaju system szkolny, o ile nie posiadają wrodzonego poczucia piękna, na obrazach dostrzegają tylko grę farb, w utworach literatury—grę zdań, retorykę, garść form gramatycznych. Takie zagwożdżenie głów gramatyką praktykuje się nietylko w szkołach elementarnych, ale nawet do pewnego stopnia w średnich i wyższych przy studyowaniu klasyków. Naukę języka rodzimego trzeba pokierować w taki sposób, ażeby uczeń potrafił świadomie i swobodnie władać mową ustną i piśmienną, żeby następnie poznał gruntownie literaturę i za jej pośrednictwem rozwinął w sobie poczucie etyczne i estetyczne.

Lekcye „moralności." opowiadania tendencyjne, niezdarne, zdaniem komisyi, nietylko są zbyteczne, ale nawet szkodliwe, gdyż wzbudzają w uczniach niemy protest i prowadzą do rezultatów wprost przeciwnych. Dzieci nienawidzą takich gawęd „z sensem moralnym." instynktownie bowiem usiłują zachować swoją indywidualność. Najlepszymi przewodnikami moralnymi, dopomagającymi także do poznania istoty ludzkiej, są płody literatury i sztuki, odtwarzające wiernie wielkie czyny, walkę żądz i wysokich dążeń, utwory oddziaływające na uczucia, wyobraźnię i podnoszące duszę.

Przy studyowaniu języka rodzimego komisya zaleca bacznie śledzić, ażeby od samego początku każdy wyraz był zrozumiałym dla uczniów, żeby się nie przyzwyczajali do zapamiętywania pustych dźwięków, żeby do ćwiczeń lingwistycznych nie używali czczych frazesów, które przyzwyczajają do bezmyślnej paplaniny. Natomiast niezmiernie ważne mają znaczenie opracowania piśmienne, ale nie na tematy oderwane. które uczą traktować rzecz frazeologicznie, powierzchownie, czyli są wybornym środkiem blagi.

Język łaciński w ostatniej klasie szkoły elementarnej ma być pożytecznym między innymi dlatego, że wyjaśnia ogólnie przyjętą terminologię naukową, przytem pewna znajomość jego ułatwi pracę w szkole średniej.

Wybitne miejsce zająć powinna arytmetyka; należy wszakże mieć na względzie to, że obarczanie ucznia pamięciowem wyliczaniem może oddziałać szkodliwie. Wogóle są praktykowane metody wykładu prawie takie same, jak w gramatyce, tj. obciążanie umysłów balastem niepotrzebnym, tamującym rozwój. Niektórzy nauczyciele dochodzą do manii w dręczeniu dziatwy łamigłówkami bezcelowemi. do czego wielce się przyczyniają także podręczniki. mogące walczyć o lepsze ze zbiorami zagadek. Trudność tem jest większa, że uczniowie nie znają tajemnic algebraicznych, przy których pomocy zadania takie można nieraz rozwiązywać wprost mechanicznie. Taka metoda uczenia jest zabójczą dla rozwoju umysłowego dziecka, pochłania mu dużo czasu nieprodukcyjnie, wyczerpuje umysł i wzbudza wstręt do nauki. Komisya zaleca. ażeby elementarny kurs arytmetyki kończono w szóstym roku nauki, a ostatnie dwa lata przeznaczono na wykłady zasad algebry i sposobów rozwiązywania zadań za jej pośrednictwem.

Trzecim przedmiotem, również ważnym powinna być geografia. Pomijając jej znaczenie właściwe, dodać musimy że ćwiczy ona wielostronnie pamięć. rozwija widnokrąg umysłowy itd. Wkracza w takie dziedziny, jak geologia, meteorologia, zoologia, ekonomia polityczna, historya, nauki społeczne. Przedmiot ten powinien się rozpoczynać jaknajwcześniej od najbliższego otoczenia dziatwy. Dalej idzie historya," już w klasach wyższych. Dla niższych pożądane są opowiadania o życiu i czynach wielkich ludzi. Przedewszystkiem należy mieć na względzie dzieje własnego narodu; historyę powszechną można przebiedz w ogólnych zarysach. Nauka ta powinna być nie *celem*, lecz *środkiem*. Głównem jej zadaniem jest nie utrwalenie w pamięci chronologii. kolei zdarzeń, dynastyj, lecz danie dokładnego pojęcia o człowieku, jako jednostce społecznej, rozbudzenie poczucia obywatelskiego, zamiłowania do wysokich szlachetnych ideałów, wyjaśnienie właściwej roli dziejowej wielkich zdarzeń i ruchów.

Nauki przyrodnicze powinny także zaprzątnąć ucznia od chwili wstąpienia do szkoły elementarnej. Zadanie wychowawcze tego przedmiotu polega przedewszystkiem na rozwoju spostrzegawczości, obeznaniu z najprostszemi metodami badań, wreszcie uprzystępnieniu literatury popularno-naukowej. Wykład należy zaczynać od najprostszych zjawisk codziennych i stopniowo doprowadzić do zasad fizyki. chemii, zoologii, botaniki itd. Do dziedziny tej należy także dołączyć fizyologię i hygienę. Nawet prawo Stanów Zjednoczonych wymaga chociaż pobieżnej znajomości tych przedmiotów. Wnauczaniu hygieny przedewszystkiem trzeba położyć nacisk na szkodliwy wpływ narkotyków i napojów wyskokowych.

Praca ręczna ma odegrywać niepoślednią rolę w szkole elementarnej. W wieku wynalazków technicznych, i szerokiego zastosowania maszyn, pewne praktyczne obeznanie się z owym działem rozwoju kulturalnego jest rzeczą niezbędną. Atoli praca praktyczna tego rodzaju może być zastosowana tylko w dwu ostatnich latach kursu, najwyżej jeden raz tygodniowo. Stosuje się to zarówno do chłopców, jak i dziewcząt. Gimnastyka, zdaniem komisyi, nie może pochłaniać więcej, niż godzinę tygodniowo, gdyż ćwiczenia te wymagają natężenia woli tudzież uwagi, a więc nie są wypoczynkiem. Dlatego nie powinny zastępować niezbędnych dla dzieci zabaw i ruchów swobodnych na świeżem powietrzu. Kaligrafii, szczególnie zaś rysunkowi, komisya przypisuje wielkie znaczenie wychowawcze i praktyczne.

Pożądanem jest, ażeby w ciągu pierwszych sześciu lat każda grupa uczniów miała swego stałego nauczyciela. W dwu ostatnich klasach można już podzielić przedmioty wykładowe, ale najwyżej na dwie części, prowadzone przez dwu kierowników. Pedagodzy amerykańscy twierdzą. że taka metoda musi nadać pewną równomierność, nauczyciele nie będą obarczać uczniów rozwlekłością ulubionych przedmiotów ze szkodą innych. Przytem wychowawca lepiej pozna dziatwę, oceni jej zdolności i postępy, wreszcie zaskarbi zaufanie.

Tu już członkowie komisyi zadaleko się zapędzili. W szkole elementarnej takiego typu, jakiśmy widzieli, nietylko jeden, ale nawet dwu kierowników nie potrafi sumiennie podołać zadaniu. Przeciążeni pracą i wszechstronnością, będą musieli z konieczności traktować wykład pobieżnie, powierzchownie. Zresztą nie każdy nauczyciel jest jednostką dzielną, doskonałą, więc wyłączny wpływ słabszych na dziatwę, może być bardzo ujemnym. Zbyt wielki despotyzm, trudno hamowana porywczość jak również apatya, niedołęstwo, są bardzo niebezpiecznymi czynnikami w pedagogice. Gdy tymczasem kilku kierowników, oprócz rękojmi dobrej znajomości przedmiotu i świeżości wykładu. może dać jeszcze zrównoważenie oddziaływań.

Bardzo słusznie komisya potępia ogólnie przyjęty system egzaminów dorocznych, urządzanych przedewszystkiem dla wygody władzy szkolnej, a natomiast zaleca zwyczaj przyjęty już w wielu miastach amerykańskich — promowanie do wyższych klas bez żadnej formalistyki, na podstawie uzdolnień i pilności.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Najważniejsze sprawy. — Zebranie uczestników bez uczestników. — Nasze wystawy i dzikie pretensye. — Projekt zamiany ich sal w celach większego pożytku. — Hipoteza o prezesach. — Zawzięte milczenie wobec kwestyonaryuszów. — Nasze bajki i domysły o własnym kraju.— Odezwa dr. Rajkowskiego w sprawie medycyny ludowej. — Niby łatwo a trudno. — Co nas zdziwi a co nie zdziwi.

Ponieważ nie dziwiłem się temu, że panna Mira Heller przeniosła swój głos z ról mezzo-sopranowych do czysto sopranowych i nie dawałem jej żadnych rad, więc nie mam obowiązku odpowiadać na jej pytanie, rozesłane w okólniku do wszystkich gazet. co ona ma począć wobec sprzeczności zdań powag śpiewaczych a krytycznych. Zresztą, o ile zauważyłem. jeden tylko sprawozdawca *Gazety polskiej* odpowiedział artystce, zalecając jej dawny repertuar; inni zachowali milczenie, jak gdyby nie do nich zwrócona była interpelacya. P. Heller ma zupełne prawo być podwójnie obrażoną: jako śpiewaczka i jako bożyszcze krytyki warszawskiej, które chwilami zdaje się im zaćmiewać autora *Quo vadis*. Jeżeli więc ona nie rozgniewa się na swych czcicieli, to chyba tylko dlatego, ażeby im nie sprawić zbyt wielkiej przykrości.

Wspominam o tej sprawie, gdyż ona nam poniekąd tłomaczy, czemu na ogólne zebranie uczestników stałej wystawy prób i wzorów w Muzeum przemysłu i handlu nikt nie przybył. Było to doprawdy ze strony zarządu wymaganie dzikie. Żądać, ażeby ludzie zgromadzali się dla rozprawiania o jakichś tam kłódkach i szufladkach wtedy, kiedy jesteśmy zmęczeni balami i nie wiemy, czy p. Hellerówna ma śpiewać mezzo-sopranem, czy sopranem—jest to szczyt nietaktu i nieumiejętności odróżniania spraw ważnych od drobnych. Również z różnych stron podnoszone skargi, że dotychczas nie porozumiano się należycie co do wystawy w Niższym Nowogrodzie, są nieuzasadnione, gdyż my nie możemy zajmować się sprawą tak oddaloną i błahą, nie załatwiwszy bliższej i donioślejszej, mianowicie: czy p. Mierzwiński posiada obecnie głos większy, czy mniejszy, niż poprzednio. Nie licząc wielu podobnych kwestyj, jak np., czy reżyser teatru Małego, sprowadzając na scenę „Podprefekta," złożył dziewięćdziesiąty czy też setny dowód swej „szczęśliwej po-

myślowości.“ lub też czy „niepożądany gość“ na balu Przytuliska był damą, czy nie damą, mamy na głowie tyle kłopotów i zagadnień teatralno-operowo-muzykalno-karnawałowych, że o niczem innem myśleć nie możemy. Wielu nawet bardzo poważnych przedsięwzięć musieliśmy zupełnie zaniechać. Ktoś rzucił projekt, ażeby w dniu balu na dochód Towarzystwa opieki nad biednemi matkami dzienniki wieczorne wyszły w kostiumach: *Kuryer warszawski* miał przybrać strój bückeburskiego *Local-Anzeigera* z wizerunkiem Spinozy jako roznosiciela w tytule, *Codzienny*—szatę *Soap-news* z wizerunkiem Byrona jako dowódcy tańców, *Słowo* — formę *Libre parole* z wizerunkiem de Maistre'a itd.; ale podobno wykonanie tej myśli powstrzymały skrupuły Towarzystwa, które z całej listy kandydatów, przedstawionych do winiet kostiumowych, zgodziło się tylko na... Byrona, mającego rzeczywiście dość ścisły związek z celem tej instytucyi. Nie znaczy to jednak, ażeby przez to zabawa na jej korzyść straciła swój urok. Bynajmniej; na bal pójdziemy gromadą, gdyż naprzód będziemy mieli tańce (może nawet i niespodziankę „czarnej damy“), a powtóre, musimy w ten sposób pokryć niedobór kasy Towarzystwa, skoro bogate jego opiekunki tak szlachetnie zrzekły się przyjemności tej ofiary na rzecz ogółu.

Lecz wracam do elegii Muzeum przemysłu i rolnictwa. Pomijając konieczność zajęcia się sprawami, o których wyżej wspomniałem, zaznaczyć winienem, że wystawa prób i wzorów, której nikt nie zwiedza, nie jest w swem opuszczeniu samotną i dzieli los wielu innych. Właściwie mówiąc, my, z braku czasu, czy upodobania, nie zwiedzamy żadnych wystaw, o ile na nich nie ma muzyki lub jakiegoś skandaliku (światło elektryczne, dawniej ściągające tłum, dziś już nam spowszedniało). Wystawa wyrobów metalowych miała widzów tylko dzięki zaciekawionym lub spędzonym robotnikom; wystawa ogrodnicza została zamknięta z dużym niedoborem; zarząd wystawy etnograficznej sprawia owacyę gościowi, który czasem do niej się zabłąka; ściany wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych brzmią echami ziewania woźnych, znudzonych wyczekiwaniem na „miłośników piękna“; salony Artystyczny i Krywulta są tak rzadko nawiedzane, że podobno w jednym z nich ktoś usiadł pod obrazem Chełmońskiego, zdjął buty i wyciął sobie na nogach wszystkie odciski bez pośpiechu i obawy spotkania się podczas tej operacyi z drugim przybyszem. Wobec tej obojętności nawet względem wystaw „ideałów,“ które, jak wiadomo, są przedmiotem szczególnego naszego uwielbienia, jakąż pretensyę do naszej uwagi może mieć wystawa sprzętów codziennego użytku? Mojem zdaniem, zamiast wydawać pieniądze na utrzymywanie instytucyj, których ludzie unikają, jak pojsaci żydzi cyrkułów, należałoby wszystkie wystawy (oprócz magazynu Hersego) zamknąć, a ich lokale przeznaczyć na sale do tańca i koncerty dla „gwiazd.“ Przed paru dniami poszedłem obejrzeć rzeźby konkursowe w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych. Na drzwiach jednak znajduję tablicę: „wystawa jest zamknięta.“ Już im zbrakło cierpliwości daremnego czekania — pomyślałem sobie i odszedłem bez żadnej urazy. Jeżeli stróż nie wysiaduje w bramie i wtedy dopiero ją otwiera, skoro usłyszy, że furman krzyczy na niego z kozła. to czemuż podobnej wygody nie mamy zapewnić oficyalistom Towarzystwa? A gdybyśmy kiedyś zebrali się przed niem liczniejszą gromadą, to krzykniemy: brama! — i ktoś nam otworzy. Za granicą jest trochę inaczej, a nawet my odbywamy dalekie podróże, ażeby zobaczyć jakąś wystawę. To zdawałoby się dowodzić, że przyczyna różnicy spoczywa nie tyle w innym materyale społecznym, ile w odmiennej naturze ludzi, stojących na czele podobnych instytucyj. Rzeczywiście, ani Francya, ani Włochy, ani Niemcy nie wzniosły się jeszcze do należytego pojęcia „zaszczytnej synekury,“ do mianowania kierownikami wystaw ludzi, którzy dla takiej godności i pracy posiadają najgłówniejszą kwalifikacyę: ile razy zechcą, mogą jeść ostrygi i pić Chably. „Gdzie Rzym a gdzie karczmy babińskie?“ — pytacie. Przepraszam, od najwcześniejszych lat słyszałem ciągle powtarzaną tę mądrość narodową: na takie stanowisko, panie dobrodzieju, trzeba wybierać ludzi, którzy je umieją dobrze reprezentować. Co to znaczy dobrze reprezentować np. szewctwo? Czy to znaczy umieć robić ładne buty?... Ach, gdzie tam! To znaczy... dobrze reprezentować. Jeszcze nie rozumiecie? Przecie to takie jasne... Wszak prawda, panie — prezesie?

— Roześlijcie wezwania do hodowców.

— Rozesłać wezwania łatwo, ale otrzymać odpowiedzi trudno — tłomaczył mi jeden z redaktorów *Ogrodnika polskiego*, którego usilnie nakłaniałem do zwerbowania praktyków na współpracowników tego zbyt teoretyzującego pisma.

Prawda! Odrazu stanęły mi na pamięci wszystkie kwestyonaryusze, jakie u nas rozsyłano po kraju w najrozmaitszych przedmiotach z równem powodzeniem: na stu pytanych odpowiadał jeden, inni milczeli, jak gdyby ich badano nie o buraki lub owoce, lecz o tajemnice spisku. I czy nie ma żadnego środka poruszenia tych niemych ust, tych leniwych rąk, od których wymaga się tylko, ażeby ujęły pióro i nakreśliły kilkadziesiąt wierszy doniesienia w kwestyi: jakie dana miejscowość hoduje odmiany żyta lub bydła? Ja utrzymuję, że trzeba ciągle bić w ten mur obojętności coraz nowemi żądaniami, dopóki on się nie skruszy, gdyż my musimy — a możemy tylko tą drogą — poznać potrzeby i środki kulturalne kraju naszego, o których tylko opowiadamy sobie wzajemnie bajki. Co tu np. daremnie gadać o „doborze normalnym owoców dla Królestwa Polskiego,“ kiedy nie wiadomo, jakie gatunki jabłek i gruszek najpomyślniej udają się w rozmaitych okolicach tego Królestwa? Co tu mówić o najwłaściwszych dla nas rasach bydła. kiedy mamy wskazówki tylko z obór zarodowych, a nie ze zwyczajnej hodowli? I tak we wszystkiem. Jednostki błąkają się po manowcach, bo nie znają dróg, utorowanych doświadczeniem zbiorowem.

Komitet hygieny ludowej postanowił na tegorocznej wystawie hygienicznej przedstawić obraz obecnego stanu zdrowia kraju w osobnem dziele, mającem zawrzeć również medycynę ludową. Otóż dr. Rajkowski z Ciechanowa, jako członek komitetu. wzywa przez pisma wszystkich ludzi chętnych i rozumiejących ważność takich badań, ażeby mu nadesłali w surowym materyale wiadomości, dotyczące: pojęć ludu o chorobach, jego sposobach rozpoznawania i leczenia ich, środkach używanych zarówno przez lud, jak przez klasy więcej oświecone a kierujące się w stosowaniu leków tradycyą i wiarą w skuteczność. Wszelkie szczegóły z tej dziedziny, zaopatrzone dokładnem określeniem, gdzie i przez kogo zostały zebrane, mieć będą wartość.

Czy jest obywatel ziemski, jego żona, córka, rządca, ksiądz, ktokolwiek naresznie z inteligencyi wiejskiej. ktoby nie wiedział czegokolwiek z medycyny ludowej? Czy to jest zbyt wielkim trudem wziąć kawałek papieru i spisać na nim te wiadomości, zwłaszcza wtedy, gdy panie i panowie ziewają z nudów, wyglądając przez okno przyjazdu bodaj Mośka, któryby ich trochę rozerwał?

Więc nic nie stoi na przeszkodzie zadośćuczynieniu wezwania?

Nic — ale mi się nie chce pisać — powiada nieugięty w *improductivité slave* znawca medycyny ludowej.

No, może tak nie powie?

To mnie bardzo zdziwi!

Poseł Prawdy.

W DALI.

Piotrków. *War. Dniew.* pisze, iż prokurator Izby sądowej warszawskiej wydał rozporządzenie, aby u sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi przy sądzie okręgowym w Piotrkowieześrodkowano wszystkie sprawy, dotyczące rozbojów i grabieży, popełnionych w powiatach Będzińskim i Częstochowskim przez bandy zorganizowane w tym celu i niedawno ujęte. Nadzór nad prowadzeniem tych śledztw, tudzież nad poszukiwaniami i badaniami, włożono na towarzysza prokuratora sądu okręgowego w Piotrkowie, r. st. Jachimowskiego, który w tym celu przeniósł się do Będzina — *Gaz. Lwowska* donosi, że w Chrzanowie i wsiach okolicznych w Galicyi aresztowano wiele osób, które pozostawały w porozumieniu z bandą rozbójników. urządzającą napady w Królestwie Polskiem.

Kijów. Dotychczasowe biuro przedstawicieli cukrowników w Kijowie wobec rządowego normowania produkcyi będzie wkrótce skasowane, a natomiast ma być utworzone przy miejscowem Towarzystwie technicznem specyalne biuro dla zbierania tych informacyj, które ogniskowały się w poprzedniem. — Przy księgarni p. Idzikowskiego otworzono salon artystyczny. Są tam prace malarzów miejscowych i zagranicznych. — Sprawa utworzenia Instytutu inżenierów obudziła ogólne zajęcie. Magistrat przeznacza bezpłatnie plac pod budowę gmachu. Młodzież z upragnieniem oczekuje urzeczywistnienia projektu, gdyż taki zakład naukowy w Kijowie oszczędziłby znacznie kosztów kształcenia się i uprzystępniłby zawód, z którego dotychczas w jedynej szkole petersburskiej może korzystać tylko garstka szczęśliwych. — Na miejsce dawnej księgarni p. Lechelina powstała nowa, założona przez łodzianina. p. Karola Szepego. — Interesowani narzekają na obojętność komitetu, który ma urządzać wystawę rolniczą w Kijowie r. 1897. Już dziś należałoby przedsięwziąć niezbędne kroki, tymczasem organizatorowie drzemią. Natomiast wystawa niższo-nowogrodzka obudziła ruch ogromny; liczni przemysłowcy biorą w niej udział, między innymi sporo Polaków, zamieszkałych w Kijowie.

Petersburg. Prof. Krasnow, po powrocie z wycieczki naukowej do Chin. ogłosił między innemi ciekawe spostrzeżenie, że pomyślny rozwój plantacyj herbacianych nie zależy od natury gruntu, lecz wymaga jedynie pewnej wilgoci i ciepła. Przyrządzanie liści jest pracą nader prostą i lekką. wymaga więc tylko mnóstwa tanich rąk roboczych.— Departament leśny opracował i przedstawił Radzie państwa projekt przekształcenia korpusu leśniczych. Organy miejscowe zarządu leśnego mają otrzymać większą samodzielność gospodarczą, rewizorów leśnych; pewna liczba rewizorów ma być zamieniona na starszych leśniczych, przyczem powierzone im będą wzorowe leśnictwa. Pomocnicy otrzymają pod swój zarząd niewielkie leśnictwa. Projekt ten rozpatrywany będzie w połowie marca r. b.

SPRAWY EKONOMICZNE

Obrady cukrowników. Na posiedzeniu sekcyi cukrowników poruszono kilka ważnych spraw. P. J. Natanson mówił o położeniu cukrownictwa wobec nowego prawa pod względem zasiewu buraków i fabrykacyi o pracy nieletnich i kobiet, w fabrykach zabrał głos p. Bernard Handke. Zaznaczył on, iż warszawska inspekcya fabryczna oświadczyła się za bezwarunkowem wzbronieniem używania tych kategoryj robotników do pracy

nocnej; raczej należy zupełnie usunąć je od zajęć fabrycznych. Przepis taki dotknąłby najwięcej cukrownie, z uszczerbkiem dla ludności zarobkującej, podniósłby znacznie koszty samej produkcyi, wreszcie oderwałby od roli znaczną liczbę mężczyzn. Z tych względów członkowie na posiedzeniu przyszli do przekonania, iż przed zapadnięciem ostatecznej uchwały należy zwrócić uwagę inspekcyi na niedogodność przepisu a w ostateczności prosić o wstrzymanie postanowienia do wysłuchania wniosków zjazdu w Niższym Nowogrodzie. Poruszono wreszcie sprawę ubezbieczenia robotników fabrycznych od nieszczęśliwych wypadków. Przy dotyczczasowych rokowaniach między fabrykantami a towarzystwami ubezbieczeń istnieje trudność na jednym punkcie: orzeczeń sądowych, które poprzestają na normie asekuracyi, oznaczonej przez polisę. Nieuwzględnienie zaś przez towarzystwa wynagrodzeń, wyznaczonych przez sąd, zraża zarobkodawców do zawierania jakichkolwiek układów. Kierując się doświadczeniem towarzystw zagranicznych, można byłoby wysnuć obliczenia, dla obu stron dogodne, na zasadzie wspólności strat. Warszawska „Przezorność,“ przyjmując za zasadę dzienny zarobek robotnika, powiększony 1,200 razy przy wypadku kalectwa a 1,500 przy takim samym wypadku czyniącym jednak ubezpieczonego niezdolnym do pracy, ustanowiłaby właściwą normę wynagrodzenia; wszelkie zaś wypłaty wyższe, przez sąd przyjmowane, ponosiłoby towarzystwo w stosunku 80%, wytwórcy zaś w stosunku 20%. Takie wnioski wygłosił przedstawiciel „Przezorności,“ p. Zygmunt Hering.

— Marszałkowie szlachty powiatów Latyczowskiego i Płoskirowskiego gub. Podolskiej, rozpoczęli starania o zwołanie zjazdu rolników w Płoskirowie, dla rozpatrzenia spraw rolnictwa miejscowego, według następującego programu: 1) utworzenie towarzystwa rolniczego; 2) otwarcie niższej szkoły rolniczej; 3) ubezpieczenie wzajemne; 4) tani kredyt wzajemny; 5) bezpośredni zakup przez rząd u rolników produktów gospodarstwa wiejskiego; 6) służebności; 7) stosunki pomiędzy pracodawcami i robotnikami; 8) zniesienie ceł przywozowych na zagraniczne maszyny i narzędzia rolnicze. Ministeryum rolnictwa, uznając za pożądaną organizacyę projektowanego zjazdu, ma na widoku delegowanie od siebie przedstawiciela, zarządzającego dobrami państwa w gub. Podolskiej i Kijowskiej.

O PRAWDĘ.

Jaką bywa polemika.

W nr. 6 *Głosu* ukazała się, z powodu mojego artykułu: *Inteligencya i jej natura*, polemika, niesmaczna w formie, śmieszna w zarzutach. Fejletonista, p J. Weznaki, lekkomyślnie przekręcił myśl cudzą i wziął urojenia swojej wyobraźni za wyraz czyichś przekonań. Napada on na moje poglądy co do czynników rozwoju dziejowego, które przedstawia w sposób następujący:

„Ktoś inny, tj. K. R. Żywicki, nietylko uważał ideę za objaw wtórny, ale przez długi czas nie mógł zrozumieć i uznać jakiegokolwiek działania jej na czynniki materyalne. . Udało się w końcu wymódz (?) na p. K. R. Żywickim wyznanie niedorzeczne, co prawda, ale stanowiące już niejaki postęp, że owszem idea wpływa na stosunki ekonomiczne, ale tylko uwsteczniająco.“ Towarzysze p. Weznakiego postanowili mnie nawrócić i zaczęli przekonywać, że „umysł ludzki, dzięki swojej zdolności uogólniania i przewidywania, odgaduje stosunki *przyszłe*, dąży ku nim, a w ten sposób wyobraża rzeczywistość materyalną, nadając jej postać, której jeszcze w danej chwili dziejowej nie miała.“

Tak p. J. Weznaki streszcza moje zapatrywania. Podałem dosłownie to przedstawienie, usunąwszy jedynie sensacyjną osłonkę dowcipów. Zgóry muszę oświadczyć szanownemu oponentowi, że taki K. R. Zywicki, o jakim jest mowa w jego fejletonie, może istnieje na księżycu, ale ze mną nic ma i nie miał nigdy nic wspólnego. Posiadam odwagę przyznawania się do swoich przekonań i tylko nie mogę uznać za swoje bzdurstw i dziwolągów, które ktoś wylęgł na mój rachunek. Dziwna to rzecz traktować w ten sposób przeciwnika—z pamięci, która przecież umie płatać figle. Ale w polemice jest tam jeszcze coś więcej: dopiero p. Weznaki, czy też jego przyjaciele, nauczyli mnie rozumu! Mam zwyczaj korzystać z wszelkiej rozsądnej rady, ale niestety, nie mogę odszukać w swojej umysłowości tego rodzaju wpływów. Wobec takiego postawienia kwestyi, muszę odwołać się do swojej przeszłości, którą krytyk, tak buńczucznie występujący, powinien był poznać z tem większą sumiennością, z im większym animuszem ciska zarzuty.

W r. 1887 zamieściłem w *Głosie* artykuł, zresztą dość słaby, *Zarys ewolucyi społecznej*. Usiłowałem tam wykazać, że rozwojem społeczeństwem rządzą pewne prawa: rozpatruję warunki powstawania idei, dowodzę, że jest ona zjawiskiem pochodnem, tj. wtórnem, i w końcu zwracam się do roli świadomości. Rzucam pytanie: czy myśl ludzka nie zdoła odcyfrować przyszłości, na co odpowiadam twierdząco — naturalnie z zastrzeżeniami, jakie są konieczne w tego rodzaju zaciekaniach. Zamiast rozwodzenia się nad swoimi ideałami i rozdzierania szat z oburzenia nad niegodziwością innych prądów, stawiam rzecz prosto i przedmiotowo, przyczem wysuwam za nawias rzutkość jednostki — warunek każdej analizy naukowej.

W tym samym roku, w temże piśmie drukuję inną pracę: *Kwestyę społeczną w Anglii*, w której zastanawiam się nad rodowodem specyalnej idei: agrarnej. Społeczeństwo—dowodziłem — w swoim żywiołowym rozwoju wyłania nowe idee, będące sformułowaniem nowych potrzeb życia. Ze względu na swój rodowód, idea jest więc zjawiskiem wtórnem, co nie znaczy jednak, aby była podrzędnem: podaje ona bowiem sposób rozwiązania zadań, wyłonionych samorzutnie przez życie. Chyba dla dzieciaka trzeba było dodawać, że dokonanie tego, tj. rozwiązanie, wymaga udziału świadomości, oraz czynu. Rozwój posługuje się ludźmi, tj. ich mózgiem i mięśniami, jako działaczami, rozpowszechnienie świadomości jest warunkiem *sine qua non* rozcięcia zawikłań społecznych.

W obu artykułach chodziło mi o wykazanie konieczności dziejowej, naturalnie względnej, przedewszystkiem zaś o udowodnienie, że idee, które ukochałem, nie są moją osobistą fantasmagoryą, tworem rozszalałej wyobraźni, ale odciskiem potrzeb i dążności życia w mózgu ludzkim. Odarłem je z podmiotowości, ażeby nadać im tem większą moc przekonywającą, jako produktom przedmiotowego a masowego rozwoju stosunków materyalnych. Znaczenie samej świadomości potrącałem mimochodem, lecz nie zaprzątałem się tą kwestyą — nie było to potrzebnem dla moich czytelników, którzy jakoś rozumieli, że moje wywody nie przynoszą uszczerbku ich indywidualności, nie zdejmują z nich obowiązku pracy w winnicy społecznej. Przyszła jednak kolej także na tę stronę. Ku schyłkowi zimy 1890 r., ktoś rozpoczął ze mną polemikę. W kwietniu i maju wspomnianego roku zamieściłem w *Prawdzie* szereg artykułów p. t: *Świadomość w rozwoju społecznym*, w których postanowiłem zastanowić się szczegółowiej nad stosunkami działalności ludzkiej do ewolucyi gromadnej. Pozwolę sobie przytoczyć dosłownie kilka ustępów:

Broniąc tam mojego poglądu na prawa rozwoju, pisałem: „W liczbie nieuprawnionych wniosków znajdujemy zarzuty, że każe ono (tj. moje pojmowanie dziejów) przypuszczać fatalizm dziejowy i zaprzecza świadomemu oddziaływaniu na rozwój społeczny, że wznosi się jedynie do analizy, lecz nigdy do syntezy zjawisk życia gromadnego, że prócz ekonomicznych nie chce uznać żadnych innych czynników. Sumienniejsze zbadanie rzeczy usunęłoby te nieporozumienia.. Rozpoczęty szereg artykułów ma właśnie na celu wykazać, że jedynie materyal styczne pojmowanie umożliwia głębszą syntezę socyologiczną i otwiera pole działalności celowej.“

Tak pisałem przed sześciu laty, nie podejrzywając nawet, że w roku pańskim 1896 wypadnie mi odgrzebać starzyznę i przypomnieć komuś o niej!

Wziąwszy pewien wypadek konkretny, mianowicie ideę reformy wyborczej w Anglii w początkach obecnego stulecia, usiłowałem tam poddać rozbiorowi rodowód hasła: Ukazało się ono jako ostateczne ogniwo długiego procesu dziejowego, odbywającego się samorzutnie i żywiołowo w zakresie stosunków materyalnych. Atoli „taka żywiołowość trwa poty, dopóki warunki przedmiotowe nie dojdą do należytego napięcia i nie wyłonią stosownego dla siebie słowa. Zamiast żywiołowej rozpoczyna się wtedy działalność świadoma.“ W dalszym ciągu zastanawiam się nad skutkami świadomości: „Uczestnictwo człowieka w dziejach zachowuje całą moc swoją, chociaż idea, owo odciśnienie warunków zewnętrznych na mózgu ludzkim, występuje jako wtórne zjawisko społeczne. Co więcej, idea, odkąd owładnie umysłami, staje się najpotężniejszą dźwignią dziejową, istotnym taranem bojowym!“ W końcu uwydatniam myśl swoją za pomocą takiego porównania. „Wobec pioruna dziki posiada mnóstwo środków: tańce, zaklęcia, amulety. Gdyby mu powiedziano, że to zjawisko odbywa się według ścisłych praw, może rzekłby, że takie zapatrywanie prowadzi do ograniczenia, względnie usunięcia wpływów świadomości ludzkiej. Ale nauka zbadała prawa elektryczności i znalazła, iż działając na ich podstawie, można owo zjawisko naginać do woli ludzkiej i nawet uczynić piorun nieszkodliwym. Zbadanie istoty społecznej również pozwoli oddziaływać z większą skutecznością na rozwój dziejowy. Sprawa jest trudniejsza dzięki większej rozmaitości wpływów, lecz, jak wykażą *dalsze* wywody, bynajmniej nie niemożebna. Wprawdzie uczestnictwo jednostki zostanie ograniczone, zamiast poetyckich paradoksów ukaże się trywialny rachunek z faktami, lecz ci, którzy będą działali na tym podkładzie, będą mogli z wyższym skutkiem wyładowywać swoją energię. W gruncie rzeczy nie oznacza to skrępowania wpływów jednostki, lecz wyzwolenie od niekorzystnych i bezskutecznych poruszeń.“

Są to ustępy z pierwszego artykułu, w dalszych ciągach p. Weznaki znalazłby wszystko, czego pragnie jego dusza: i „odgadywanie stosunków przyszłych,“ i „dążenie ku nim,“ i „chęć nadania stosunkom formy, której nie mają one w danej chwili dziejowej.“

Zatrzymaliśmy się nad daleką przeszłością, której się wstydzić nie potrzebujemy, ale której wywody dzisiaj udowodniliśmy lepiej. W bliższej teraźniejszości, w *Ludach* (cenzura zwróciła je w marcu 1892 r.), posunęliśmy się do tego, iż mówimy nawet o „inżenieryi socyologicznej,“ która chyba może istnieć tylko przy przewidywaniu przyszłości i posługiwaniu się świadomością, tj. sformułowaną już ideą. Odgrzebaliśmy zapomniane przez nas artykuły, bo chodzi o wykazanie nietylko lekkomyślności i niedbalstwa krytyka, ale także o charakterystykę jego arogancyi, która twierdzi, że dopiero przyjaciele p. J. Weznakiego nauczyli mnie oceniać doniosłość idei. Nie chcę ubliżać krytykowi, ani jego znajomym, ale muszę nadmienić, że w potrzebie znalazłbym i znajdowałem lepszych mistrzów: w wielkich myślicielach Europy zachodniej i w wielkich inicyatorach czynu i postępu.

Słowem, wyznawa e przeze mnie poglądy głoszą: 1) życie w dotychczasowym terytoryalnym okresie dziejów, rozwija się żywiołowo, wyłaniając wciąż nowe stosunki materyalne, wraz z nimi zaś nowe potrzeby; 2) na podkładzie potrzeb, które ukazały się tym sposobem, powstają nowe idee, będące ich sformułowaniem. Chaotyczne, niezłonkowane bełkotanie ewolucyjne zamienia się wtedy na myśl świadomą, człowiek wynalazł-szy ideę, zaczyna używać jej jako dźwigni, 3) Idea, powstawszy w toku rozwoju jako *zjawisko* wtórne, ze skutku zamienia się na przyczynę dalszych ogniw pożycia gromadnego, tj. staje się *czynnikiem* dziejowym; 4) w pewnych ustrojach, względnie epokach (w pracach moich p Weznaki znajdzie bliższe szczegóły), zbadanie przedmiotowe faktów teraźniejszych w ich dyalektyce rozwojowej umożliwia syntezę pierwiastków dalekiego jutra i daje wskazówki, jaka działalność jest najpożyteczniejsza. W powyższych czterech punktach podałem jedynie charakterystykę prądu postępowego. Ale istnieją jeszcze inne pierwiastki. Ukazanie się nowych potrzeb, w dalszym zaś ciągu idej, odbywa się wśród pewnego ukształtowania stosunków, in-

stytucyj, psychiki i wierzeń. Jest to podścieli-sko historyczne, przedstawiające nową siłę dziejową, która zwykle zachowywa się opornie (prawdopodobnie stąd to zaczerpnął krytyk niedorzeczny swój zarzut, że mojem zdaniem idea wpływa na stosunki ekonomiczne tylko *uwstecz-niająco!*). Nie mam miejsca roztrząsać działania tej kategoryi wpływów, tem bardziej, że to już wykracza po za właściwe cele mojej odpowiedzi.

P. J. Weznaki, skoro pragnie dać krytykę moich istotnych poglądów, niech raczy zwrócić się do mnie o wskazanie mu artykułów i przestudyuje je. Będzie wtedy zbijał *moje* rzeczywiste zapatrywania, nie zaś jakiegoś manekina, któremu dał moje nazwisko. Pozna, że nawet nosa Kleopatry nie odsądzam od zaszczytu figurowania w liczbie czynników dziejowych, tem więcej zaś genialnych myśli i idej lub szlachetnego czynu.

Artykuły moje są pracami publicystycznemi, pisanemi, jak się mówi, na kolanie, pod wpływem wymagań dnia. W jednym położono więc nacisk na pewną stronę, w drugim — na inną, niekiedy o którymś czynniku zgoła nie nadmieniono, bo w danej chwili był on rzeczą obojętną. Sądzę jednak, że sumienny krytyk potrafi wyłowić wątek zasadniczy *).

Mój rachunek z p. J. Weznakim załatwiony, chociaż mógłbym inaczej wyzyskać niefortunną sytuacyę, w jakiej się znalazł.

Pisząc swój szkic, nigdy nie miałem na uwadze współtowarzyszy p. Weznakiego.

My wszyscy, w deptaku życia, nadaremnie usiłujemy prząść równo nić swego życia: zrywa się ona ciągle. Łykamy wiedzę doryweczo, nie mamy czasu związać jej końców, póki wypadki nie zmuszą nas dokonać tej pracy. Tandeta to nieuchronna, przymusowa. Nikt od niej nie zdoła się wybić — mówiąc to, nawet dla siebie nie robię wyjątku. Ratuje nas uczucie, z jakiem nawiązujemy naszą przędzę umysłową, oraz chęć przyniesienia ziomkom pożytku. Nikogo, kto szczerze pracuje dla swego społeczeństwa, nie podciągam pod strychulec pogardy i szyderstwa. Mówiąc więc o inteligencyi mieszczańskiej, bynajmniej nie chciałem obrażać współpracowników pisma, które nie wolno mi podejrzywać o zamiary geszefciarskie.

Może w przyszłości wywiąże się dalsza polemika. Nie będę się przed nią cofał, ale postaram się nadać jej ton inny, niż to zrobił fejletonista *Głosu*. Nie życzyłbym sobie, wraz ze współpracownikami tego organu, odgrywać roli żaków, pokazujących sobie języki ku uciesze gapiów i przyczyniać się do zamiany każdej kwestyi spornej na sensacyę, uniemożliwiającą rozbiór przedmiotowy. Żywotność pisma i dyskusyi polega na świeżości i sile idej, zastępowanie ich przez dowcipy *ad personam* i pieprzne wyrażenia to tylko sztuczny rumieniec.

K. R. Żywicki
(L. Krzywicki).

Autor listu, zamieszczonego w nr. 5 *Prawdy*, ma zupełną słuszność: *pieczenie z piekarni*, *wielkie cudo* i inne *kwiatki* wcale są nie na miejscu w Kalendarzu Towarzystwa dobroczynności.. P. Wałużynicz postąpił nieoględnie: korekta i redakcya powinny być staranniejsze. Na przyszły rok unikniemy omyłek w najprostszy sposób: zwrócimy się do autora listu, więc zredaguje kalendarz należycie. Prosimy go tedy w imieniu nędzarzy, aby odkrył przyłbicę i dał się poznać. Grymasy i żarciki pozostawmy cyrkom, a każdy z obywateli, w czem może, niech dobrej sprawie dopomoże. Oczekujemy!

N. B.

Szczególny cech.

Odbieramy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Ciekawy jest tutejszy cech mydlarzy. Jak każdy inny, i on odbywa od czasu do czasu „posiedzenia," przyjmuje do swego grona nowych kandydatów na majstrów lub czeladników, lecz, niestety, takich, którzy nawet nie wiedzieli, jak się mydło gotuje. W najlepszym wypadku rzekomi „zatwierdzeni" majstrowie lub czeladnicy trudnią się sprzedażą mydła, nabytego od tych „fabrykantów," których za godnych należenia do swojej korporacyi nie uważają...

Słowem, jest to cech, nie mający żadnego żywotnego interesu i ogłaszane o nim wzmianki w pismach bałamucą tylko opinię. Jako bliżej obeznany z tą sprawą, zapewnić mogę, że na wszystkich dawniej czynnych mydlarzy, a należących do cechu, większość nie żyje, a pozostali nie zajmują się wcale tym fachem. Taki upadek jednej z ongi bardzo zyskownych gałęzi przemysłu, jest wielce smutny, choćby z tego powodu, że wyroby mydlarskie za granicą ciągle są doskonalone, my ani na krok nie postąpiliśmy naprzód, naturalnie dla braku inteligentnych pracowników.

Winienem dodać, że mowa tu o fabrykacyi mydła do użytku gospodarskiego, gdyż toaletowe są u nas już prawie takie dobre, jak za granicą.

J.

*) Mam na ukończeniu obszerniejsze dzieło *Czynniki rozwoju społecznego*. Jeżeli p. Weznaki koniecznie pragnie mnie zmiażdżyć, będzie miał wtedy sposobność — zamiast grzebania się w artykułach publicystycznych, otrzyma książkę, będącą owocem paru lat pracy. Zapoznać się może z paru jej ustępami z zeszłorocznej *Prawdy* (*Jaźń zbiorowa*, *Tradycya zorganizowana*).

DONIESIENIA URZĘDOWE.

„Przez Najwyżej pod d. 30-ym lipca 1867 r. zatwierdzone przepisy nadane zostały szczególne przywileje urzędnikom pochodzenia rosyjskiego, będącym na służbie w guberniach Królestwa Polskiego. Przepisy te prawie zaraz po ich wydaniu zostały w ich zastosowaniu, ograniczone przez postanowienie z d. 18 lipca 1868 r. b. komitetu urządzającego w Królestwie Polskiem, który wyjaśnił, że moc nie rozciąga się na osoby urodzone w kraju Nadwiślańskim, bez względu na ich wyznanie. Obecnie, jak donosi *Jurid. Gaz* (nr. 5), senat rządzący, biorąc na uwagę, że prawo z r. 1867-go miało na celu, ze względu na zaszłe przed jego wydaniem zawichrzenia polityczne w kraju, przyciągnięcie w przyszłości na służbę osób pochodzenia rosyjskiego, dla popierania przedsięwziętych przez rząd środków pożądanego zrusyfikowania kraju, ponieważ nie liczył na spełnienie tego swojego celu z pomocą osób nie russkiego pochodzenia; 2) korzystając z przywilejów tego prawa jest zawarowane pochodzeniem urzędnika z rodziców rosyjskich; 3) osoby, pochodzące z rodziców, urodzonych w Królestwie Polskiem, są tak samo rdzennymi rosyanami, jak bracia ich urodzeni wewnątrz Cesarstwa i że wogóle przypadkowy fakt urodzenia się osoby w Królestwie Polskiem nie może zrobić z niej osoby pochodzenia rosyjskiego wogóle, która wstąpiła do służby w Królestwie Polskiem przed d. 13-ym lipca 1886-go r., powinna korzystać z praw i przywilejów, wyrażonych w przepisach z d. 30-go lipca r. 1867-go."

Warsz. Dniewn.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Założono w Warszawie Towarzystwo weterynarzy wojskowych.

— Spodziewana jest wkrótce reforma zakładów dobroczynnych żydowskich. Korespondent petersburski *Warsz. Dniew.* pisze, że wszystkim tego rodzaju instytucyom będzie pozostawiony roczny termin do opracowania i przedstawienia ustaw, których dotąd wcale niema, gdyż zakłady i towarzystwa są przyłączone do synagog i domów modlitwy. Instytucye, które nie uczynią zadość powyższemu przepisowi i nie przedstawią w ciągu roku ustaw swoich, zastosowanych do przepisów ogólno-państwowych, mają być rozwiązane, a majątek ich przejdzie pod rozporządzenie zakładów dobroczynnych, działających na mocy ustawy zatwierdzonej.

— W Riesi (Sycylia) skutkiem zawieszenia robót w kopalniach siarki, wśród ludności miejscowej zapanował głód ogromny. 8,000 ludzi (w tej liczbie kobiety i dzieci) wyległo na ulice, kołatało do pałaców i domów osób zamożnych; zrabowano sklepy z żywnością. Kobiety zachowały się najniespokojniej. Prefekci okoliczni utworzyli składki.

— Towarzystwo chemiczne w Londynie odbyło d. 22 z. m. posiedzenie dla uczczenia pamięci Helmholtza. Prof. Fitzgerald z Trinity College w Dublinie, wybitny przyrodnik, wygłosił mowę o jego życiu i znaczeniu dla nauki przyrodniczej.

Szkoły. Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego ogłosił dla studentów następujący temat rozprawy konkursowej na medal złoty: „Stan prawny, polityczny i ekonomiczny włościan w ziemi halickiej w XV w., na podstawie ksiąg: *Akta grodzkie* i *Ziemskie listki*, wydanych w r. 1887 we Lwowie."

— Na przedstawienie tutejszej władzy naukowej ministeryum pozwoliło podnieść komplet słuchaczów Instytutu weterynaryjnego do 120.

— W Tyflisie zamknięto kilka szkół, przeważnie żeńskich, przy świątyniach ormiańsko-gregoryańskich. Ponieważ uznano, iż zakłady te nie czynią zadość przepisom, t. j. nie są utrzymywane z funduszów parafialnych, zaproponowano oddać je pod zarząd ministeryum oświaty i w tym celu oznaczano termin dwukrotnie. Duchowieństwo ormiańsko-gregoryańskie atoli wolało je zamknąć zupełnie.

Wystawy i zjazdy. Na wiosnę w mieście Armawirze odbędzie się zjazd kaukaskich hodowców owiec, na którym mają być roztrząsane wszechstronnie kwestye: udoskonalenie przewozu owiec, rynki zbytu produktów owczarstwa, zniżenie taryf przewozowych itd.

— Wystawa rzemieślniczo-artystyczna odbędzie się r. b. w Dreźnie.

— Wszechrosyjska wystawa fotograficzna i zjazd w Moskwie otwarte będą d. 24 lutego. Dotąd złożyło deklaracye 50 wystawców z innych miast. Ma być także dział, dotyczący badania antropometrycznego przestępców.

Koleje i komunikacye. Z przyszłą wiosną Towarzystwo żeglugi parowej na Donie, morzu Azowskiem i Czarnem rozpocznie działalność swoją na Wiśle i jej dopływach.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Konstantemu S. w R. Nie możemy tu podejmować obszernego wykładu tej kwestyi, ale Lange ma słuszność. Chodzi o to, że człowiek nie może wiedzieć, jaką jest np. lampa, na którą patrzy, *niezależnie* od jego wzroku (sama w sobie), a że ona wogóle istnieje *wnioskujemy* pośrednio z naszego wrażenia (o jego przyczynie). Potrzebne wyjaśnienie znajdzie Pan w dziełach Hume'a *Enquiry comern. hum. underst.*, Kanta *Kritik der rein Vernunft*, Milla *Examination of W. Hamiltons philosophy* i bardzo wielu innych. Z przekładów polskich: J. Berkleya *Rzecz o zasadach poznania* (Warszawa, 1890, k. 50), W. Wundta *Teorya poznania* (Warszawa, 1889, rs. 2 k. 40).

Stałemu prenumeratorowi. „Księga przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich, używanych przez pisarzów polskich" Leopolda Czaplińskiego. Warszawa, 1892.

Panu Wł. R. A. Kudasiewicz: *Stylistyka*, str. 142 (Warszawa, 1865); K. Mecherzyński: *Stylistyka*, s. 202, (Kraków, 1870); J. Mezler: *Przewodnik w praktycznej nauce stylu*, str. 271 (Rzeszów, 1872); L. Rewoliński: *Teorya stylu*, str. 212 (Radom, 1846), w *Dziełach* Euz. Słowackiego (Wilno, 1824) tom II zawiera „Rozprawę o sztuce dobrego pisania w języku polskim," t. III „Przykłady stylu w prozie." W ostatnich latach wyszło dziełko W. Korotyńskiego p. t. „Jak pisać po polsku." Najbardziej cenioną jest praca Mecherzyńskiego. Większą jednak korzyść, niż te podręczniki, daje czytanie pisarzów wzorowych.

Panu K. W. w Monachium. Mamy sprawozdawcę stałego. Rękopis zachowany do zwrotu.

Okr. w Ilińcach Prosimy o przysłanie nam tego numeru gazety, bo go nie mamy i tu dostać nie moglibyśmy.

Panu H. W. W źródłach nam dostępnych nie znaleźliśmy potwierdzenia, ażeby statua św. Piotra w Rzymie była przeróbką posągu Zeusa. Wzmiankują one tylko, że pochodzi ona z V w. i że jest „naśladowaniem" wzorów starożytnych. Co do drugiego pytania— L. Krzywicki.

Przytułek Puszcza Cztery lata ubiegły od chwili, gdy po długich i usilnych staraniach ze strony Towarzystwa Osad Rolnych i przy chętnej pomocy ludzi dobrej woli urządzono 1891 r. dla dziewcząt, skaranych sądownie, lub moralnie zaniedbanych i opuszczonych przytułek poprawczo-wychowawczy w nadanej na ten cel Towarzystwu Osad Rolnych pięćdziesięciomorgowej osadzie Puszcza, położonej w pow. Skierniewickiem o 4 wiorsty od Studzieńca.

Na razie celem niezwłocznego zaradzenia dotkliwej potrzebie społecznej, a wobec braku funduszów na wzniesienie odpowiedniego na ów zakład budynku, przytułek w Puszczy urządzony został tymczasowo na 12 wychowanek w starym domu drewnianym, zajmowanym ongi przez leśniczego, a pracą wychowańców studzienieckich możliwie odnowionym, przerobionym i rozszerzonym. Było to atoli schronienie, zgoła nie wystarczające ani pod względem swej przestrzeni, ani też warunków zdrowotności, bezpieczeństwa i wygody; i z tej przyczyny władze Towarzystwa od pierwszej chwili odczuły i uznały nieodzowną potrzebę wzniesienia odpowiedniego nowego domu zakładowego. W miarę jak zaludniała się Puszcza przez przybycie nowych wychowanek (których obecnie jest w niej 12), potrzeba ta tem dotkliwiej dawała się we znaki i dziś stała się wprost palącą kwestyą dalszego bytu młodocianej instytucyi. — Wobec tego już przed dwoma laty władze Towarzystwa zajęły się wygotowaniem planu nowego domu zakładowego i gromadzeniem na ten cel materyałów budowlanych i funduszów. Kosztorys rzeczonego domu, obliczonego na wskazaną w ustawie normalną liczbę 50 wychowanek, wynosi 12000 rs., na poczet których ze źródła ofiarności publicznej wpłynęło dotąd rs. 5908, brak zatem jeszcze 6600 rs. W tym stanie rzeczy prezydyum Towarzystwa Osad Rolnych ośmiela się odwołać niniejszem o pomoc do wszystkich ludzi dobrej woli, ufne, że szczodrobliwa ich ofiarność pozwoli rychło zaradzić nieuchronnej potrzebie i jeszcze wiosną r. b. przystąpić do budowy domu zakładowego. Nazwaliśmy tę potrzebę nieuchronną; bo, zaiste, w obecnym stanie przytułek w Puszczy nie tylko jest pozbawiony możności dalszego rozwoju, nie tylko nie może w całości wykonać swojego wzniosłego zadania moralnej poprawy zaniedbanych dziewcząt, ale byt jego dalszy jest zagrożony. Społeczeństwo nasze, tak zawsze dla dobra publicznego ofiarne i tak czułe na ludzką niedolę, nie będzie niechybnie obojętnem dla sprawy wychowania i umoralniania opuszczonych dziewcząt i pośpieszy z niezwłoczną pomocą. Niechże ta odezwa odniesie skutek pożądany, niech on będzie nowym dowodem, że poprawa moralna, ten najwyższy cel usiłowań społecznych, znajduje w sercach obywateli naszego kraju właściwe uznanie i skuteczną pomoc, a wdzięczność ochronionych od zepsucia wychowanie przytułku będzie najmilszą ich ofiar nagrodą.

Prezes Komitetu *L. Górki.*

Vice Prezes Komitetu ks. *M. Woroniecki.*

Przewodniczący w Zarządzie *Dr. W. Mikłaszewski.*

Nauczycielka muzyki, za której wyjątkową umiejętność uczenia redakcya *Prawdy* ręcza, poszukuje lekcyi. Bliższych objaśnień udzieli administracya.

OGŁOSZENIA.

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:

Henryka Heinego

WYBÓR PISM

tom III-ci i zawiera:

Księgę Le Grand oraz Noce florenckie,

w przekładzie

Maryi Konopnickiej.

Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, Żórawia 34.

Bezpłatny dodatek „Prawdy"

Zasady Fizyologii

Huxleya—Rosenthala,

wyszedł w osobnej książce i jest do nabycia za cenę rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery. tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.

— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach**, kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 16.

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Księgarnia **K. GRENDYSZYNSKIEGO** (**Petersburg, Jekateryńska 2**), otrzymała na skład główny

„Przegląd Literacki"

miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcyą

Kazimierza Bartoszewicza.

Przedpłata roczna wynosi rs. 3, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 50.

Prenumerować można w każdej księgarni.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana).

Cena zniżona: rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.